S. ŻEROMSKI

DUMA O HETMANIE



STEFAN ŻEROMSKI
DUMA O HETMANIE

Autograf z l. 1900-1907.

Stefan Żeromski.

Duma o hetmanie.

1909 rok

Synowi swemu
Adamowi
przypisuje ten utwór
autor.

Prolog.

W śniadym dymie i w chmurach ponad morzem wyro-
słych jesienne słońce połyska.
W gęstej kurzawie, wyrzuconej ze stepu, stratowanego przez
kopyta tatarskich koni, ~~głuche~~ mdłe) światło gore.
Niezliczona ćma kruków, lecąca niby skrzydła czarne-
go anioła, napełniła szerokość niebieską i nad
dzikiem ~~[illegible]~~ krajów polem.
Głuchy tętent oddaje ziemia sucha.
Daleki zgiełk niosą wiatry.
Prawica najjaśniejszego, najwielmożniejszego Osmana,
Mekki i Medyny cesarza, siedm monarchij i cztery
kąty świata trzymająca podniosła chorągiew w stro-
nach dalekich.
Wrzask trąby zagrzmiał nad morzem, między lądami.
Ciemnolice, pospnooki ludy rzuciły Eufrates, Nil, Dunaj.
Nad Archipelagu zielone morze, ~~A~~ między Tracyą i Azyi
wybrzeżem, ponad Cyklady, Sporady, Salaminę, Eubeę

i Samotrace padło hasło.
Z Kandyi, Lemnos, Samos, Chios i Rodos udczyli we wiosła galer greccy żeglarze, ku Bosforu dążąc cieśninie.
Z czarnej Kemi, znad kwiecistych grząd Egiptu wyruszył murzyn, fellah i kopt.
Ze spiekłej, skalistej pustyni, z suchych wąwozów puszczy libijskiej ciemny arab pomyka.
Zza nagich gór, z łożysk wichru, spod bezchmurnego nieba, z okręgów ~~łuky~~ wiecznie płonącej wybiegł beduin, szerokobiałym osłoniony burnusem.
Ze stron, których deszcz nie nawiedza, brnie pod barwistym ciężarem garbaty wielbłąd, porożysty bawół i pracowity muł.
Leciny wołów ciągną szczękającą armatę.
Niedościgły rumak pustyni, co cienia drzew nie widuje, depce pachnący mrok w bukowych lasach

serbskiej płaniny, pławi się w sinnych nurtach Dunaju, rozwiera nozdrza, wciągając jesienny wiatr zza Dniestru i w miękkich łęgach Prutu łękliwe stawia kopyto.

Lśni nad pochodem płomion pyłem okrytych połysk złotego proporca.

Równiemi korpusy dążą upierzone odziały janczarów.

Błyska grot włóczni persa, kurda i ormianina.

Albańczyk, bułgar, bośniak i serb ściska w mściwej dłoni rusznicę, wecuje po nocy jatagan, chandżar gotuje do ciosu.

Szepcze modlitwę ku czci Allaha, zaprzysięga ku większej jego chwale, przeszywać strzałą serca dzieci, i dymem puszczać ruskie i polskie wsie i do podwalin wyłamywać zamki po górach.

Sto kilkadziesiąt tysięcy cięciw czeka na strzałę.

Pozłota krwi zakrzywiona szabla, dżeryd-spisa,

wielka włócznia i hak.
W pustce nocnej zanosi się daleko melodya dzika.
Śmieje się w dal surma, – kotły takt biją, – zgrzę
mordu podjudza tołumbas, brzękadło, zele i flet.
Nastąpił dzień, gdy zsiadły się, zgęstniały chmury.
Na pasmie gór, co od północy, zachodu i południa
okrążają błonia cecorskie zadymił się obóz turecki,
Po prawej stronie mogiły odwiecznej stanął bun-
czuk wezyra, Iskiender-paszy, rządcy Sylistryi i
Serdara Mołdawii.
Przednią strażą jardy sułtańskiej dowodził Chyzyr-
pasza stary, Sarimsak, łakomca na czosnek.
Na prawem skrzydle zatknął znak Jussuf-pasza,
Rumelii bejlerbej, – Hussejn-pasza, – Muhammed,
zwany Terjaki, opiumożerca, władca sandżaku Nikopo-
lisu.
Na lewem skrzydle, po zboczach gór, panujących nad

Deli, doliną zawisła sześćdziesięciotysięczna nawalnica rwaczów tatarskich, której rozkaz wydaje han Krymu Dżanibeg-Giraj.
Brat przy nim Kałgaj-sułtan, namiestnik hański, Diwlet-Giraj, potomek szczepu Dżyngiz-hana, - książę przy nim Nebrie-Giraj z plemienia Mansur-ogli, - i straszliwy Kantemir-Mirza, Krwawe Żelazo, do słonia wściekłego przyrównywany.
Dwa olbrzymie ramiona we sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierza poprzed złowieszczemi skrzydłami kruków rozwarły się do uścisku.
Przeciw nim polskiego rycerstwa niespełna siedm tysięcy.
W zaszczycie dawnych, tak dwudziestopięcioletnich szańców i przekopów Zamojskiego hetmana zaczajone błyszczą chorągwie.
Stanisław Koniecpolski, hetman polny, czyni w obozie rząd dzienny i dysponuje szyk w polu.

On ma pod sobą skrzydła ~~lewe~~ prawe.
Na czele wszystkiej siły skrzydła lewego trzyma do-
wództwa buzdygan Samuel xiążę Koreckie, Pogoń
odwieczną na tarczy noszący, – w sercu niezgasłą żądzę
tronu. Heremia Mohiły, hospodarów multańskich zięć.
Panię nieustraszone, ów, co bez Rzeczypospolitej zezwo-
lenia własną swą, korecką wojnę ottomańskiej po-
tędze wydawał, nie polskim, bez Michała Wiśnio-
wieckim, Stefana Potockim, Jana Przerębskim huf-
com hetmanił, dziesiątkami tysięcy trupa muzułmań-
skiego we dwudziestu bataliach zasiewał wołoskie
pola, hospodara Alexandryka, Domny Halżbiety
Mohiłowej wdowy synaczka, sadzał na tron, pojma-
ny w boju konał nieustraszenie w lochu stambul-
skim, junacko uchodził przez Raguzę, Sycylię, Nea-
pol, Rzym...
Zakuty w żelazo, olbrzymi, – czarne dziwowisko, – pio-

run turecki, – wywlekał znowu miecz na półksiężyc.
Nad kornetami niemieckiej rajtaryi przewodzi
Herman Denhof młodociany.
Roty piesze cudzoziemskie sprawia dziki, i niesforny
, inflancki krzeczot-białozór, Wolmar Farensbach,
wielkiego Jerzego, puszkarzów syn.
Wyszły na odwagę wojenną siły królewiąt.
Stefan Chmielecki, – postrach tatarski, – z synami Ada-
mem i Łukaszem prowadził ukrainnych pancerne-
go znaku ośmset towarzysza.
Walenty Aleksander Kalinowski, kamieniecki staros-
ta, wiódł cztery pełne chorągwie.
Mikołaj z Komarowa Struś halicki, Moskwy
najezdnik i krwiożerca, stanął we trzysta kopij.
Mądry w radzie, mężny w boju, wytrwały w niedoli.
Marcin Kazanowski, podolski wojewoda, ~~sprawia~~
cztery husarskie chorągwie sprawia.

W obleczeniu gorąco złoconych blach harcuje przed swoimi wojewodzic bracławski, Mikołaj Potocki młody.
(a [illegible]) Janusz ze Śniatyna Tyszkiewicz czterysta szabel ma pod sobą.
Stanęli w strzemionach sławni rotmistrze:
Jest Andrzej Karwicki i Jan Wąsowicz, Mikołaj Siemieński i Mikołaj Maliński, ponury, milczący, zły Odrzywolski Jan, siłacz nadobny Aleksander Morsztyn, Aleksander Cetner i Jan Małecki.
Z prawej ręki, daleko za wałami ponad rzeką Żyżyją i błotnemi szuwary potoczył się obozowiskiem, a straże na prawo i na lewo wysunął Walenty Rogawski z trzynastoma stokonnemi rotami lisowskich straceńców.
Żelaza na nich nie ujrzeć, chyba pod końskiemi kopyty, u lewego boku i na ramieniu. Wysokie z ich łbów golonych zwisają czapki, płaszcze opięte z szerokim kołnierzem chronią od dżdżu.

Ciasne na nich, wielobarwne, na ziemiach dalekich
wdziewane ubiory, juchtowe, mocno podkute buty.
Pokładające się na krótkiem siodle, puszczają w jaskół-
czy harc zwinne, lotne i rącze swe konie. A gdy
raz czwałać poczną, ocieka krwią krzywa szabla,
dzwoni cięciwa łuku, dymi się długa rusznica.
Twarze ich zgorzałe od wichru, co je chłostał mię=
dzy lodowatem i kaspijskiem morzem, między
uralskiemi i alpejskiemi lodozwałami, w tysiącu
bojów prochem odymione, wychudłe w pochodach
przez Węgry, Czechy, Niemce, Lotaryngię, Szam-
panię aż po Paryż.
W tyle obozu nad rzeką stoją kosze kozackie
wolontaryuszów zaporoskich młodego Chmielniczenki
Bohdana. A Bohdan Chmielniczenko poglądza zda-
la (zadumany) w panów polskich zbroje, w ciurów obóz
zgiełkliwy... Połyskują jego mołojców arkabuzy,

guldynki i toruńskie muszkiety, janczarki w polach nadmorskich zdobyte, bandolety i nosiwe samopały. Dzwonią w jego obozie tęskne bałabajki. Tęsknią do lotu strzały w sajdaku.

Równo z czołem pancernego szyku, z prawej i lewej strony czyhają zastawy armaty, złożonej z falkonetów, z hakownic, śmigownic i wozów.

Miała iść w bój z taborami wozów wszystka armata. W każdym taborze pięćdziesiąt wozów we cztery rzędy. Między rzędami kapitana Trzebuchowskiego piechota po kilkaset żołnierza i drabanty pod kapitanem Almady. W czele każdego taboru, w tyle i z boków od pola po cztery działa. Cały regiment armaty dla strzelowania pola boju miał pod sprawą zimny, sumienny a prawy Teofil Szemberg.

W głębi obozu stłoczyły się zbiorowiska ciurów, wielka

liczba czeladzi, pachołków pańskich, hajductwa, strzegącego luźnych i jucznych koni, drabów od juków i kolas, służby husarskich chorągwi i włóczęgów idą-cych na wojnę.
W pośrodku wojska, między synem Janem, hru-bieszowskim starostą, synowcem Łukaszem, kałus-kim, a Alexandrem Bałabanem, winnickim, siostrzeńcem z żółkiewskiej krwi, — ojciec-mogil-nik, rzeczypospolitej wojen i rada, — Stefana króla żołnierz, — hetman i kanclerz, sławy polskiej piastun, na oczu wszystkich w wysokiej, cecorskiej krzepi...
Kołpak na nim ciasny z czaplem pierzem, znacznie wydanem.
Wiatr pierze muska.
Lamparcia zwisa skóra z twardych karwaszów zło-cących ramiona. Nieruchoma buława, — znak chwa-ły polskiej, cnoty męskiej, przelanej od wieków krwi —

na łęku siodła spoczywa.
Grzeje się koń i niepokój pod kanafasowym czaprakiem, pod siodłem srebrnostrzemiennem, w złoto oprawnem, drogiemi wysadzonem kamieniami.
Wyciąga gibką szyję hetmański koń, co po dziedzińcu kniazia Groźnego Iwana, po Łobnem miejscu Borysa, u wrót dwuramiennej cerkwi Błażennego Wasyla srebrną dzwonił podkową. Czujnemi chrapy wciąga wiatr z obozowisk Skinderbaszynych lecący...
Dostojne czoło hetmańskie, ozdoba rasy, sędziwemi oplecione promieniami, na załogę bezpieczeństwa ojczyzny z granic jej wyniesione, duma nad sprawą.
Majestat i piękno twarzy tej, skryte w niej sumienie szlacheckiego Polski gminu, – władza tłumem.
Uśmiech, żałosna mądrość, szydzący i miłościwy, na ustach siadł i nie schodzi.

Czujne oczu spojrzenie w dal poleciało ku olbrzymiemu wrogowi — i nie wraca, jakoby ów podjazd szalony Odrzywolskiego Jana, co pocwałował orłoszumiący skrzydłami w paszczękę nieprzyjacielską, — i nie wraca.
Powiał z dalekich kosów Gałgi, z ciał Kantemira gwar, zgiełku echo, poryk bydła, rżenie…
Wzmógł się uśmiech od głębokiej hetmańskiej dumy.
Ściągnie się w przestrzeni biała dłoń.
Pomyka z oczu przymrużonych w dal wyzwanie:
— Nie ciebie się boję, — nie ciebie się boję, o wrogu.
Nie ciebie się boję, zewnętrzna potęgo, nawałności janczarska, co mię straszliwymi chcesz ogarnąć skrzydłami, — góry kamienne na piersi me dźwigasz i kraczesz nad sercem złowieszczych wron chmurą. Nie wobec ciebie trwoży się serce moje, gdy rozsnujesz nieprzejrzanym obłokiem

na tę garsteczkę szlacheckiej krwi, gdy błyskasz
włócznią setek tysięcy i Goliata wywlekasz miecz.
Dawidzie mój!
Zwróciły się oczy hetmańskie na zastęp siedmiotysięczny
i szły po chorągwiach koleją, koleją, koleją.
Patrzą w demeszkowane szyszaki pancernych Ko-
rony, na kopije lasem stojące z powiewnym,
jak welon proporcem i złotem błyszczącym, —
na pancerze ruskich województw, srebrem nabijane
i złotem, — na litewskich petyhorców poczty, przy-
brane w brzeszczotowe koszule i giętkie kolczugi.
Obejmują głowy misiurkami okryte, hartują
miecze u boku szerokie i długie, utwierdzają drze-
wa kopii olbrzymiej, przywiązane do łokcia
sznurem z jedwabiu.
W pośrodku, między taborami, na czele, troistym
szykiem w półkole, we sto dwadzieścia koni każda
husarskie czatują chorągwie hetmanów.

Roskosz oczu rycerskich, pociecha ducha twardego!
Tarcze z rodowemi lśnią znaki.
Rycerze i konie obleczeni w kirys. U boku ich-koncerze. Pod prawą nogą u siodła - rapier do ścinania wroga dziewięćłokciową zwalonego na ziemię kopiją. Na łęku młot sześciofuntowy do miażdżenia szyszaków, albo berdysz dwubrody do płatania na poły pancerza. Skóry lampartów i lwów, czarnych albo białych niedźwiedzi i wilków na barach. Z przyłbic strzelają czaple kity, pióra żórawie, indycze i bocianie. Zagraniczne skrzydła w kunsztownej oprawie zrosły się w las, w puszczę młodą, po której strzelistych piórach stawa szelescze. Długie ze złotemi krzyżami, żółte i białe, czerwone i błękitne wiją proporce.
Hetmański, na czele znak, drzewo z wprawionem w nie skrzydłem rozpostartem orłowem.

Przed chorągwiami rotmistrze. Na czele – pułkownicy.
Przy znakach pancernych trębacze z surmą przy
ustach na sygnał czekają. W pogotowiu trzyma
pałki bębenista.
Ponad nimi wszystkimi, jako żałosny polski bia-
ły ptak polata myśl hetmańska, wszystko nie-
ulękłem rozsądzająca baczeniem:
– Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, o wol-
na, o kresu nie znająca duszo polska!
Przed tobą drżę, ty niełacna, krnąbrna, sa-
ma siebie szaleństwem chłoszcząca, ty, samej so-
bie nieznana i nikomu niewiadoma...
Widziałem cię w krwawych bitwach.
Gdyśmy się siekli w pałasze z kozaki i z wojewo-
dą Michałem, pod Rewlem z Karolusem, pod
Toropcem z Moskiewskiego tatary, u bram niezłom-
nego Potocka, pod tynami płonącemi Wielkich Łuk, –

Pat —

we trzydziestu nogajskich zagonach, w inflanckich i multańskich potrzebach, w kłuszyńskich opłotkach i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha czapkę szafirową dla królewskiego polskiej skroni dziecięcia... Widziałem cię w byczyńskiej opresyi, gdy w dyabła Tarnowskiego kształty łeb przyszło ciąć siekierą, — i pod Guzowem, gdy po ramię i po kolana trzeba się było ubroczyć w rodzonej krwi...

Och, polskiego ~~szlachectwa~~ wyuzdania duchu, wrosły w serce, ojcowski, własny, — a obcy, rodzinny, — a wrogi!

Nie przed ~~wrogiem~~ najeźdźcą drży moje serce, lecz przed wami, o sobie-pany!

Każdy z osobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek — król sobie, Wiszniowiecki — sobie, Sapieha — sobie, Rożyński — sobie, Samuel Tyszkiewicz

i Mohiłowi zięciowie. Każdy zależy tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce prowadzi wojnę i gdzie chce szuka ojczyzny. Dyabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, palą wsie i łupią miasta w ojczyźnie. Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakuszaninem. Samuel banita praktykuje kozaki przeciw ojczyźnie. Zebrzydowski zgromadzi stotysięczną armię przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwańców od szubienicy człowieka rozbija ogromne pułki jedynowładców północy pod Zamkiem Białozierskim, u Wielkiej Soli i pod błotnistym Suzdalem, zdobędzie niezmierną krainę dla imperatora Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt

w jego sprawy, w jego zamki na moskiewskim
budowanie łodzie zechce zaglądać. Książę Korec-
kie we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne hor-
dy ~~[illegible]~~ na tem wołoskiem palenisku, wiecz-
nie krwią polską gaszonem.
A jeśli swawolnicy zięciowie, prowadząc teścia hos-
podara na multański tron, podpalą pod całą Rzecz-
pospolitą wzniecą, - skoro lisowczycy, wspierając ce-
sarza w zapasach z Bethlenem Gaborem, rozjuszą
sułtana do tyla, że ogniem wielkiej wojny w
Polskę wybuchnie, - kiedy przyjdzie wszystkiego odża-
łować, nieprzyjaciela odepchnąć stos, gotów granice
zastawić od nawały - wtedy wielka!
Że wszystkiej, z najaśniejszej Rzeczypospolitej nie znaj-
dziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wysłowisz u drzwi
przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyżebrzesz
przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza!

Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek, — gdy=
by nie koligaci spod Karpat podnóża, co na sło=
wo najświętsze zaklęci, skupią kilka rot w nagłym
czasie i dla sąsiedzkiej wyjdą przyjaźni — iluż by
ze mną było?
Dawno w gnuśnej próżni, wśród ziewania ducha,
wpośród mów a szumnych odpowiedzi, w zimnem
kole skomleć, gdzie w pośmiewisko obracają uniwer=
sał, — żeby Warneńczykową strzałę woli na cięci
wę Stefana króla zuchwałej rady położyć, - nie za=
stawiać dziś od nawały nagich ścian kraju, bo tu
u węgłów śmierć się wałęsa i w wywalonych czeka
drzwiach, lecz w nieprzyjaciela stopnie iść, najeżdżać
go w jego kraju, skoro z legowisk swoich wyszedł, żeby
przyćmić Europy oświatę i na karku polskich ludzi
wolnych postawić nogę.
Lecz któż w płytkie serce ludzi wolnych tchnie, żeby

w sobie jedno nosili Prawo, niem się związali, zbu-
dzili wolę, wzniosłość i zachwyt wielki?
Jeśli nie skoczyć z tym zastępem, sam na dowództwo
nieprzyjaciela, zarzucą w tył zniewagi, idąc na swą
przyjatykę nie główne imię z niedbałą sarmacką pychą,
z niewdzięczną polską fantazyą, jako wylot kontusza.
A jeśli skoczyć i przegrać, ukamienują obłudnym
szlochem mą pamięć, ~~z~~unurzają moje imię wojenne
w błocie obmowisk i jawnego oszczerstwa, cisną je
w pomiotle pospólnego sądu, w śmiechu swym bez-
rozumnym zagrzebią i przypną mi nad wiecznym
mym hetmanem kilę przekleństwa.

Daleko w polach wzbiły się ~~kurzawy~~ pyłów obłoki.
Wrzawa odległa... Tatarski nagły krzyk.
Podjazd niósł bitwę.
Z cicha wyszeptał kanclerski syn głuchą radę:

– Macte!

Mgła zasłoniła ojcowskie źrenice.
Wzmógł się hetman głębokiem westchnieniem:
– Zestąp się i zrośnij w jedno, o rozszarpany polski duchu!
Stań się Moc!
Twardem spojrzeniem poruszył buzdygany wodzów.
Dźwignął nagle buławę. Wielkim zamachem dał znak.
Zawrzały – karmo – trąby. Uderzył bęben.
Szczękną natychmiast zasłony wozów wraz z „kobyłami"
armaty. Zadzwoniła łańcuchy.
Drgnęły usarskie chorągwie, kołem na czele stojące.
Zakołysał się pancernych szyk za szykiem.
Nim z łuku strzelić olbrzymi nieprzyjaciół obłok wywi-
nie się zza kurhanu, pędząc za ciasną polską kolum-
ną podjazdu.
Tatarski wrzask rozjuszony gdzyś na tyłach obozu
zagłuszył strzały armaty Szemberga.

Runie z pędem niesłomnym w środkową nawałę turec-
ką Chyzyra-paszy z drzewem pod pachą jasna broń
kanclerzowej chorągwi. Wparta żeleźca w boki biegu-
nów husarskich polnego hetmana szyk.
Kłęby dymiącej kurzawy zasłoniły pole.
Wszystka nawałnica wielotysięcznego gminu nieprzyjaciół
pędem uderzyła w piersi lecących z kopyta. Śmiga w
bój, paląc z rusznic, lisowski pułk. Pokładli się jeźdź-
cy lisowscy na koniach, szable w ich ręku błysz-
czą. ~~[illegible]~~ Srogi ich krzyk przeszył powietrze.
W dali, poza obozem idą w śmiertelne z tatarami
zapasy kurzenie kozackie.
Z dzikiem stękaniem, rżąc boleśnie, runęły na się
piersiami lecące, rozhukane konie. Spięły się na
zadach, stanęły dęba i wzajem się pyskami kąsają.
Niemasz w ciśni tej miejsca na złożenie gładka
kopija.
Bielma ślepiów w bielma zajrzały, jakoby w otchłani

śmierci. Wpiera się kolano w kolano. Brzeszczot wręcz w brzeszczot strzela, kord praska w kord. Obuch gruchota przyłbicę, – jatagan spodnim sztychem brzuch rozdziera, – koncerz płata, jako szwy sukienne, stalowe nity kolczugi, a żelazna rękawica wyrywa z olstra wrogiego pistolet, albo, dosięgnąwszy gardzieli, wydusza z niej potężnym uściskiem ostatni dech.

Śmiga w nieulękłe twarze czarnych strzał zawieja. Staje w sprawie i w bój idzie ruchoma grobla prawego taboru Drogonia, Lewikowskiego, Ochyja. Grzmocą w twarz turecką spiżowe cielska Szemberga, pokotem trupów zaścielające cecorskie pole. Nieulękłym krokiem, paląc raz wraz z gwintowanych guldynek, z rusznic tarczowych i nośnych samopałów postępują saboty kapitana Almady. Opóźnił krok lewy tabor armatni.

Odsłonił czoło i bok wojska i wstrzymał tylne szeregi.

Nie mają placu wolnego następujące chorągwie pancerne. Poczną, skokiem pole mijając, uderzać w tyły lewego taboru, — odpychać go dalej a dalej... Tak się lewe skrzydło bojowego szyku odsłoni i zmiesza. Uderza w tę lukę wróg.
Trzymają na piersiach nawałność usarscy rotmistrze. Skręca się w miejscu jazda, wirem ogromnym zatacza i wielkie koło włóczniami obraca się w powodzi wroga.
Postrzegli zamieszanie wodzowie.
Samuel xiążę Koreckie na czele swoich chorągwi posiłecznym hufcem przewrze się ku wojowisku.
Paruje do sprawy zgubione szeregi. Dysponuje szyk.
Ujrzeli wrogowie i swojacy kadłub jego olbrzymi na koniu zakutym w stal, gdy w prawo i w lewo miotał się począt od ciosów wielkiego koncerza.
Narosina stal przyłbicy, jak skrzywiony a rozwarty

dziób sępa zda się jadowicie klwać ~~truchło~~ padające.
Oburącz rąbie z ramienia. Sztychem błyskawico-
wym nawskroś przebija. Dzikie oczy, w szczelinach
maski gorejące, gaszą pierwej żywoty nim straszliwe
ranną śmierć zada. Pot krwawy sączy się szparami
żelaznych rękawic i ścieka spod szyszaka. Głucho
stękanie rwie się z piersi okutej, — ni to robot-
ny pomruk drwala, co ścina pień odwiecznego
buka, niepołomna dla halnych wichrów w tatrzań-
skiej puszczy. Zmydlony koń, złotem od bezcennego
rzędu migający, skacze susami w puste ulice
ludzkiego przerażenia, rży dziko, wykręcając się
wokół na zadzie tańcem bojowym w okrągłych
porębach śmierci.
W prawym szyku Herman Denhof, jak strzała
wbił się w skrzydła janczarskie. W zagon spahi-
sów się worał. Dwie chorągwie rajtaryi w łosie

kurty zaszyte, wciosały się pod jego rozkazem i utkwi-
ły w czole wroga, jak czekan niezgiętą ciśnięty prawi-
cą. Z niewyrwanemi z piersi strzałami, biały od
usłej krwi, a z obliczem, które już śmierć całuje
i ramieniem otacza, idzie na wytrwaną do mety
swej pułkownik młody. Krzyk jego śmiertelny,
śmiech jego donośny nad zgiełkiem bitwy lata,
umierającym waleta, zginionym pozdrowienie:
— Za pokochaną ojczyznę! My, którzy nie uchodzim!
Każdy rajtar walczący u boku dowódzcy bije się
z dwudziestoma wrogami. Ilekroć wódz poza siebie
okiem ciśnie, widzi dziury w rzędach, zdychające
rumaki, siodła bez jeźdźców i grzywy samopas pę-
dzące w przezroczystem polu. A po trzech godzinach
boju, gdy ze dwustu towarzysza piętnastu zostanie
w strzemionach, wynoszą wierne ręce żołnierskie spód
kopyt tatarskich koni stratowaną, szaloną wodza głowcikę

Wspomniał Marcin Kazanowski, niegdy niezgasłe serce, łowopieckie pola, nocne z Markiem Sobieskim, Samuelem-banitą i walecznym z Żółkwie rycerzem wycieczki w tatarski kosz. Zda mu się, jakoby króla wielkoducha ńamiot jeszcze miał za sobą w obozie... Śni się dawny sen... Uderza jego chorągiew w szeregi tureckie, stokroć za szeregami występujące, jakgdyby katapulty miotana głowica w niezłomny mur. Klękają i o ziemię się walą konie jataganem zarznięte. Rycerze ważą się naprzód i w tył od dziesiątków frischego żołnierza emocyi. Zepchnięci z łęku, w ciżbie janczarskiej, ojczyźnie z przebitego serca oddają krew.

Spadają z natarczywej ręki Jana Wąsowicza niepochwytny dla oka ciosy miecza w chłopy z puszcz i z nad morza. W niezakryte brzuchy, w czaszki osłonione jeno zwojami kaszmiru rębie rola

Alexandra Cetnera. Idą nań ławą, która żelaza pancernych przebić nie może, uciec nie ma gdzie przed ciosami, więc przez jedwabne kaftany i wzorzysto szyte koszule ścinana wylatuje ze strzemion i pomostem się ściele. Zwartą idąc gromadą bierze wroga na sztych, rozbija i targa jego szeregi. Wolmara Farensbacha piechota, od krwi pod kurty spływającej do nitki przemokła. Jak niedobitych ze śliskiej tam woła ziemi, gdy się wtłoczą w nieprzyjazną gęstwę. Puste tam pojeżdżają siodła i łożne drwonią strzemiona na grzbiecie zbestwionych rumelijskich ogierów.

Zwalił turczyn krótkim czekanem w naczolnik Morsztynowego konia i krwawy odrzerp łba wytupał. Padł na piersi koń bojowy. Wyrwał Alexander Morsztyn nogi ze strzemion i, spieszony, w zbroi kwitnącej od krwi poszedł między szpic skrzydła,

kity i czuby ich wodzów, migają połyski jataga-
nów. Rwią pióra jego szyszaka strzały niechybne,
dzwoni w jego piersi dziryt rzucony, ale umyka
przed nim miecz. Na groblach trupów, zwalonych
w tem miejscu armatą Szemberga staje rycerz
samotny, kurhan tam zakłada swój...
Raz wraz dookoła każdej szczypty rycerskiej zatacza
się półksiężyc burnusów, usiłując róg swój z ro-
giem złączyć a walczących zawrzeć w śmierci kolisku.
Polacy wyrąbują dziury w ścianie, zrastającej się półksię-
życa rogami, otwierają drogę odwodu i cofają
się zwolna ku szańcom, żeby nie utonąć w nawale.
Z armatniego dymu wynurzają się tam i sam
siemieńczycy, Janusza Tyszkiewicza towarzystwo,
Strusiów pokruszony oddział... Zginęli zarąbani
od poturczeńców ludzie mężni: Wrzeszcz, Kowal-
kowski, Gostecki...

W chorągwi kanclerza, co całą wagę nieprzyjaciela na się wzięła i najwścieklejszy jego cios w swe piersi skierowała, strzemię w strzemię walczą dwaj przyjaciele, bracia stryjeczni, Żółkiewscy – Łukasz i Jan. Strzały po nich skaczą chyże, od krat lica kryjących pryskają, od yorkskiej odskakują kolczugi. Kule wokoło głów ~~świszczą i~~ mruczą. Łukasz Żółkiewski osłania brata rannego. Mieczem ociekłym koło niedostępne przed nim pisze, młotem toruje drogę. Rzecze wśród trudu Jan:

– Jeżeli tu skonam, – bracie, – zanieś ojcu ostatnie moje odetchnienie. Tarczą go osłoń i mieczem szlachetnym. Radą go w chwili złej podeprzyj, gdy stara jego głowa upadnie w trudzie.

Rzecze Łukasz:

– Jeżeli ja zginę, – bracie, – wody naczerpniej w chełm i zanieś mu, gdyż za wojsko hetman czuwać musi,

W kanclerskiej chorągwi, która całą wagę nieprzy
jaciela na się wzięła i wszystkie stempota

gdy wojsko pada.

Wbiją znowu ~~[illegible]~~ ostrogi w boki końskie i skoczą w janczarskie gęstwiny. Groty spis wokoło nich nachylone. Straszne oczy spoglądają. Tysiące ramion naciąga łuk. Świst strzał. Przez tłok wroga osaczeni wyrąbują się samowtór. Cofa się z nastaniem wieczora do połowy wyrąbana kanclerska chorągiew, samego ze sobą unosząc z pola.

Czterykroć przebiegał Koniecpolski – polny – przed potłuczonemi kupami żołnierza, rząd w nim czyniąc i serce. Gdy własny jego zastęp schodził z placu skrwawionego, ~~[illegible]~~ polny stał w szeregu, dodawał ramienia i potężnemi ciosami nacisk odtrącał.

~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Napływ ciągły nowych szeregów prawy tabor ogarnął. Ze wszech stron ogarnięci, krzykiem gniewu nieprzeliczonego ogłuszeni, w trwodze panicz=

nym wyprzęgli ciurowie konie od armat. Jedni, pó-
ki pora, uciekali z placu, inni pod kolasy scho-
wani, konali od razów dziryta. Wozy wgniecione
na działa zatamowały porządek odwrotu.
Wycięta niemal do nogi Almadyjego piechota.
On sam, strzelając się w osaczeniu, trzaskiem musz-
kietów otoczony, z ciężkiemi ranami we dwudziestu
człowieka przedarł się do okopu. Ostały zaledwie
trzy hakownice, dwa lekkie falkonety i wozów
kilka. Rzucił się żołnierz turecki na kolasy z
chciwością, rozumiejąc, że klejnoty w nich znajdzie.
Lecz znalazł tylko koński gnój...
Pada słońce zachodu na połamane skrzydła, poszar-
pane zbroje, rude od krwi, — na pałasze w dło-
niach pęknięte, — na wykrzywione od rozpaczy lica
i oczy ślepe z wściekłości. Rżą i szlochają z trwogi
konie, gdy, zbywszy jeźdźców, wbiegają w okop

hetmański.

W zmiażdżonym do cna szyku, w hufcach posiekanych, w klątwach, wzdychaniu, w jękach, groźbach, w obłąkanym śmiechu i złowrogim pomruku — płynie ścierpła od męczeńskiego zachwytu hetmana twarz. Jakoby światło miesięczne, uniesienie na niej zastygło. Uśmiech zgubiony nie schodzi z warg. Żelazny spokój i mężna cierpliwość w oczach daleko patrzących (zawarte), zatapiają się nie w bieżącą, lecz w następną chwilę. Mierzą oczy zgasłe nie dokonany już ~~akt~~ nieszczęścia akt, lecz to, co jest w nieszczęściu najgorsze, drugi, jeszcze niewidoczny jego w mroku stopień śliski, jutrzejszego tajemnicę dnia...

Zaledwie zdławione szeregi ubite na się i pełne ran same sobie zaszczytem być przestały, w obozie się znalazłszy poza osłoną ziemnego wału, rozprysł się skalisty ich opór. Nie-sprawa padła w nie, jakgdyby tajna pokusa szatana.

Nowozaciężni i osiwiali świadkowie wypraw gdańskich, inflanckich, moskiewskich i wołoskich, — szlachta konna i pospolite piesze żołnierstwo wybrańców, — rodowici ziomkowie i cudzoziemscy żołdacy, — rozkazodawcy i ~~[illegible]~~ ciurów zbiorowisko, — nadewszystko zaś lekka obozowa hałastra, pachoły, służba, podjezdki, — wszyscy, — dali się ogarnąć szaleństwu rozpaczy i trwodze. Jęk powszechny: — uciekać! — wionął w szepcie warg odrętwiałych, zapalił się w błyskaniu źrenic i pędził bezładne gromady z krańca w krańce obozowiska. Ludzie nie poznawali twarzy najbardziej znajomych, biegli to naprzód, to w tył z okrzykiem sza=

łonym i groźbą. Strudzona prawica oręż wyrywała co chwila i coprędzej podnosiła do ciosu, zanim człowiek obaczył, kogo porazi.
Przejeżdża przez obóz Kalinowski Walenty, skupia swe roty, ustawia, a w tłum głośne, okrutne rzuca zniewagi na starą hetmana głowę.

Rzucił w ciżbę radę szeptaną Gracyan hospodar, żeby przez mętny Prut zaraz uchodzić, a potem jemu tylko znanemi przesmyki, Bukowiną, Pokuckim kątem. Każde jego słowo skupia orszak. Rada tworzy rotę. Brną za nim w noc.
Pędzi na koniu kanclerz stary.
Zagrodził drogę. Zaklina, żeby obozu nie rzucać. Stanął u wylotu obozowiska. Chwyta w ramiona gadających bezładnie, szepce zapewnienia, przysięga. Szablę wyrwał i zastawia drogę umykającym cichaczem. Skoro staną, oświadcza, że odprowa-

dzi wsze wojsko do dniestrowego brzegu, na Mohylów,
byleby ~~[illegible]~~ sworność zachować. Obiecuję struchla-
łym natychmiast rozpocząć z wezyrem traktaty o zawie-
szenie napaści.
Wtem upadł w tłum z czyichś ust poszept inny: —
zamyślają hetmani wojsko wrogowi na rozsiekanie
zostawić, ze Skinderem paktować, a rzecz taje-
mnie uciekać.
Głuchą pogłoskę wraz z zatrzymanemi kupcami po-
niosła w obóz rozpacz skostniała.
Zastawił hetman strażami wyjście obozu.
Lecz o ciemnej nocy uciekł z obozu Gracyan hospodar.
Uciekł z obozu Walenty Kalinowski, starosta, upro-
wadzając ze sobą tysiąc pięćset podjudzonego żołnierza.
Uciekł mężny Jan Odrzywolski z chorągwią.
Uciekł Stefan Chmielecki z chorągwią.
Uciekł w noc ciemną piorun turecki Samuel xiążę

Koreckie.

Uciekł Janusz Tyszkiewicz ze swoimi.

Uciekł Moskwy najezdnik i krwiożerca Mikołaj z Komarowa Struś halicki.

Jedni uszli zdrowo i wcwał dopadli domowego progu. A inni zginęli w drodze niesławnej, napadnięci od ordy, czającej na tamtym brzegu prutowym. Wyskakując z wody, nie mogli rozpoznać nieprzyjaciół, – szli tedy pod miecz, albo w łyka.

Pochwycił ~~Zaważ~~ Prut, jak lewiatan, kamienieckiego starostę w swe głębie, w skręty, w przeguby. Wyrwał go ze strzemion i poniósł w dół. Rzuca go mart po jamach, poi wodą w głębi swej, przewraca, ostrogami stawia w górę, a nieskazitelnym pióropuszem zaraz mienionych skrzydeł, co sławę żołnierzom szumiały, zamiata piach niskiego dna. Jak zdechłą rybę, brzuchem ku niebu ciemnemu,

wyrzuca Prut ze siebie trupa i chusta go na chicho-
cie fali. Opił się Walenty Kalinowski rzecznego odmętu
i popłynął, popłynął z roskrwawionemi rękami, z roz-
dziawioną od krzyku gębą w daleką drogę, ku czarne-
mu Hellespontu morzu. W głębokich błotach limanu
trupa swego zagrzebie. Zarzyje w ił ostrogi rycers-
kie i wszczepi rękawice. Raki morskie wyłuskają
mu oczy, wyssą serce wodne żmije. Pancerz jego
splamiony, niestawny hełm szlam napełni zgnie-
ty, a muł napoicki zalepi.
Skoczyli w nurty prutowe Korecki, Tyszkiewicz i Struś,
lecz na tamten, skalisty brzeg jego nie mogąc wy-
chynąć, wrócili. Ociekający wodą, z zakrytemi kra-
tą przyłbic twarzami stanęli znowu w obozie
polskim.
A w obozie polskim już żołnierz namioty popalał.
Z latającym, jak płomień pochodni, pomrukiem

[illegible]

mołłoch rozdziela zasłony namiotów, które opuścili rotmistrze i pułkownicy. Oczyma szalejącemi z wściekłości bada wnętrze każdego namiotu. A skoro próżnię ujrzy, jakgdy grób ujrzał otwarty, jakgdyby wywaloną trumnę. ~~[illegible]~~ Ciżbaż wydaje krzyk złowrogi. Ogląda stanowiska wydeptane od Chmieleckiego koni, puste gródze po pół łokcia na koni, gdzie Odrzywolskiego bytowała chorągiew, maca płomieniem pochodni i gorejącemi oczyma ziemię stratowaną śladami ku Prutowi — i jako wilk wyje.
Czeladź w kupę strachem i żądzą złączona, broń przez rannych porzuconą chwytające, obchodzi powtóre puste namioty i zabiera na własność, co znajdzie.
A obszedłszy puste namioty, pocznie zaglądać do każdego z kolei. Gdzie leży ciężko ranny, ~~[illegible]~~ cichaczem skróci mu bóle dla łatwiejszego rabunku. Namiot hetmana polnego, namiot Kazanowskiego Mar-

cina, Farensbachów, Szemberka i innych, co krwią
ociekające, bronią obozu bezsennie na szańcach – roznie-
siono na strzępy. Szatrę wielkiego hetmana, który
z obozowego odwodu drogę uciekającym zagradzał, zra-
bowano do nitki, że zostało jeno płótno zczerniałe
od deszczu i ziemia goła. Skarbne wozy rozbito.
Chwyta sługa konie pańskie samopas puszczone i w
ciemną noc kalinowskim tropem umyka. Nareszcie
poczyna zuchwałość zbijać z koni znużonych rycerzy,
oręż z ręki osłabłej wyrywać, zdzierać zbroje i szaty.
Niesworna swawola, gwałt buchną, jak pożar wśród
tłuszczy. Tumult i wielki krzyk głuszą słowo.
Śmiech słychać okrutny, pogróżkę straszną dla ucha,
złowieszczy śpiew...
Daleko zawiewa z nocy peań starodawny broniących
obozu na wałach.
Oto przez rabującą chałastrę, która pali tabory i włamu-

cina, Favensbachów innins

swe wozy naładowuje łupami, przedziera się na koniu Jan Żółkiewski. Głowa jego odkryta. Włos skudłany. Czoło związane szmatą. Krew z twarzy ciecze.
Niesie dla starca wodę w kyszaku, który był ze strumienia ku Prutu dążącego zaczerpnął, iżby spalone ojcowskie wargi odświeżyć. Przez zagon tatarski wichrem ~~przem~~leciał, brzuchem końskim ziemię zamiótł w pustkowiu, przez obóz polski upiorem przepędził, ~~wlatujące~~ wpadające z grubej ciemności.
Szept się w rosnącym tumulcie o jego widok zahaczy. Ruszą wszyscy na miejsce naczelne patrzeć, czy lori i kanclerz już uszedł. Stoją w tłumie rotmistrze, namiestnicy, żołnierze. Zwartem kołem obskoczyli powtórze ciemny, głuchy, odarty namiot hetmański.
Krzyk napastniczy, znieważający zgoda:
— Sam tu, mości hetmanie!
W ciemnym, głuchym namiocie na ziemi hetman leżał

omdlały. Syn przy nim jedynak.
Zdyszani, strudzeni ramiony się na moment objęli.
Głowami do się przypadli.
Strzały końcyste tatarskie wielekroć przebodły ciało sy=
nowskie w tej bitwie. W rany głębokie zielenica twarz
poorały. Krew zastygła na licu i w twarde grudy
się zsiadła.
Nie od ciosu pierwszej strzały janczara jęknął tak
głucho hetmański syn, lecz zadrgnął się wszystek od
polskiej strzały niecomyślnej, co serce przeszyła bolością.
Zniewaga czcigodnej głowy ojcowskiej aż do śmierci go
poraziła. Powiódł hetman drżącemi palcami po twa
rzy młodej. W ciemności przebolał dłońmi grube guzy
i rany rozdarte, jeszcze krew mokrą sączące. Pocałunkiem
miłosnym, pochwałą wodza je uczcił.
Starą głowę zniżoną na mgła młodego czole z cichym
wsparł szlochem.

Słychać strzały janczarek tureckich, bijące w okop cecorski.
Słychać krzyk przeraźliwy pędzących dokądś tatarów.
Słychać wrzask wzrastający koła szaleńców za namiotem.
Kłapiące w pochwy szablami, wołają:
– Pewnikiem uszedł...
– Uciekli inni, czemużby i hetman?
– Uszedł hetman!
– Zdrada hetmańska!
– Do Niestru go syn wyprowadzi...
– Oto przez obór na koniu starosta rubieszowski przeleciał.
– Skinder-baszy na mięsne jatki nas przedał.
– Dla Boga! Ze wszech stron nieprzyjaciel!
– Odsieczy nie czekaj!
– Nagrody żadnej za męstwo!
– Za wierną służbę miłej ojczyźnie śmierć czeka.
– Bez strawy my od godzin tylu...
– Wepchał złoto w kaletę i na koń ze synem samowtór.

– Powiadają: do Skindera list pisał...
– Do Skinder-baszy list woził synaczek...
– Bierzcie ostatek, – dla Boga! – panowie bracia z namiotów
– Za trzy pacierze wróg te miejsca osiągnie.
– Ma-li to niewierny turczyn odzierżyć?
– Ma-li dzikie tatarzyn polskie skarby unosić?
– Do broni!
– Uchodzimy drogą pokucką!
– Hańba wodzowi!
– Hańba hetmanom, opuszczającym rycerstwo!

Spływa ciche słowo Janowe w namiocie – tka obraz krwi świeżej z rany:
– Okrutne jest plemię polskie! Jak wilk rozwścieczony, jak żmija wyhodowana na piersi niewdzięczny jest ten świat. Żaden mu inny na ziemi w niewdzięczności nie sprosta!
– Kocha się, – synu, – człowiek nasz nadewszystko w widowisku strącenia wielkości i jej stolicy. Nie znosi człowiek

nam dla wielkości zachwytu. Lecz nic to, nic! Im okrutniej-
sze jest plemię, tem głębiej wrzynaj się w nie miłości twoja!
Własne to nasze hetmańskie żądanie.

— Pogardź, ojcze, tą zgrają!

— Do podłego kruszcu pogardy lada dorobkiewicz i pyszałek do-
kopać się zdoła, lecz do złota wyborowego, którem za nie
wagi my płacimy, jeno przez głębokie, twarde, skałą zamu-
rowane wnętrzności ziemi ryć się trzeba. Głęboko leży
polski skarb, o dobry synu! Bardzo to ciężki trud przez
całe życie samemu, bez wezgłowia spać w dzikich polach,
a słyszeć wciąż, jak głuchą ziemią leci nad głową z oj-
czyzny taki oto sąd, jak tej słuszny, — o wszystkiem, —
lub jeszcze gorszy od tego sądu oszustów śmiech.

Każe hetman synowi zapalić smolną pochodnię.

Ujmie sam skrzydło orłowe, w drzewce włóczni wprawione.

Wyjdą obadwaj przed namiot.

Stanęli wobec rycerstwa, wobec żołnierstwa i ciurów.

Samuel xiążę Korecki wśród tłuszczy. Woła:

— Wielki hetmanie — oto tłuszcza zbestwiona! Władzy żadnej! Splądrowane namioty... Roztargane w obozie trzosy rycerstwa...

Rzecze hetman:

— Że mnie woda nie siecze. Komu innemu się skarż!

Krzyk rozjuszony dokoła:

— Z drogi się wrócił!

— Ulęknął się Prutu wody spienionej.

— Cieplej spać pod namiotem, niźli się w Prucie pławić po nocy.

— Hańba tchórzowi!

— Za Kalinowskim, za Chmieleckim, za Strusiem!

Znak hetmański syn podniósł z rozkazem milczenia.

Daremnie. Krzyk wzrasta:

— Ten to nas tu przywiódł.

— Taksamo z garścią w Ruś chodził!

— Taksamo nie wskurał nic.
— Niechaj na Ewangelią przysięga, że z obozu nie wyjdzie.
— Któż wasza miłość przysięgę, że z obozu nie wyjdziesz tajemnie, — inaczej ust nie otwieraj!
— My krew za sprawę wylali, których tu stoim, a hetman nasz zajęczym skokiem pomyka. Gdzież prawo?
— Niechaj przed nami, wszem rycerstwem przysięga.
— Nie puścić!
— Otoczyć kołem!
— Ramiony zastawić!
— Wymówić posłuch!
— Nie słuchać bez przysięgi.
— Bez przysięgi nie słuchać.
— Nie słuchać!
— Nie słuchać!
Księgę znaleziono, podano.
Jęknął syn. Łamie ręce przed ojcem i błaga, żeby mu

pozwolił nieubłagany miecz wyrwać i roztrzaskać zniewagę.
Płoną z trzaskiem pochodnie.
Zdjął hetman kołpak.
Powiódł dłonią po martwem licu. W tłum patrzy.
Twarzą w twarz stanął syn ojcu. Łka głucho. Oczy
jego płoną z rozpaczy, gdy szepce:
— Nie przeżyję tej hańby! Nie zniosę poniżenia. To imię
Żółkiewskie nie tylko jest twoje, lecz jest moje. Na
miecz się w oczach twych rzucę!
— Zejdź z drogi! Własną moją rzecz sprawuję. Muszę
się schylić, muszę się zgiąć na wzór obręczy. Pokorą
moją muszę opasać ich szaleństwo. Przypatrz się, co jest
polskie szaleństwo! Rozpadną się i rozsypią, jak klepki,
jeśli im się równy w podłości nie wydam. A gdy się
tak zegnę i spoję w kolei, większy się stanę, niż oni
wszyscy razem. Utrzymam, synu, w obręczy zachwyt
ich dla siebie samych, czyli polską całość.

52

Syn u nóg na kolana runął.
W dłonie drgające od bólu księgę mu kładą.
W głuchem milczeniu słychać jak serce łomoce.
Surowa twarz kanclerzowa od grozy skostniała.
Siwe włosy rozpacz zjeżyła. W oczach się iskrzy mrok śmierci.
Ściągnął rękę. Palce na księdze położył.
Uśmieszek cichej pokory klamrą mu okuł usta.
Mówi głośno, wyraźnie:
— Na tę księgę przysięgam przed wami, jakom nie zamyślał o ujściu. Przysięgam, jako nie ujdę.
Wnet się rankor i niepomyślny animusz — polskim obyczajem — z gruntu odmienił i w łaskawość rozczulił.
Krzyczą poczciwie:
— Niech żyje hetman!
— By nas i zabić miał na tym placu, jego się trzymaj kto żyw!
— Nasz hetman!

— Tryumf przecie odprawował...
— Cary przywiódł...
— Z nim nama żyć i umierać!
Kołem go ciasnem opasali. Łzy w ich oczach. Uśmiechy. Wyciągają dłonie...
Tedy czapkę nacisnie. Pierze sprostował. Znak każe podnieść. Buławę, żelazo wojenne, porwie w dłoń. Straszliwe z ust jego padają zniewagi. Z obuszkiem porwie się na tłum.
Rozkaz grzmiący:
— Na wały!
— Tchórze, nikczemnicy, łotry!.. Pod rozkaz hetmana polnego. Do broni! Kogo teraz na rabunku dopadnę — na pal!

Po dziewięciu dniach walki upartej z wrogiem stokilka=
dziesiątttysięcznym i każdogodzinnej rozprawy, nanowo,
układów z szaleństwem garści zamkniętej w obozie, o niesz=
pornej godzinie dnia wywiódł hetman cichaczem pięcio
tysięczne wojsko z Cecory.
Zamknął je w ciągu tych dni jakgdyby w fortalicyi,
w zamku ruchomym. Rozkazał ciasno, jedna przy dru=
giej zestawić kolasy wojenne w czworobok ze wszech
stron zamknięty. Powtórzył zaś czworobok, coraz mniej
szy, siedemkroć. Dniem i nocą skuwali kowale osie
kolas ~~wzajemnie między sobą~~ jednej z drugą grubemi na krzyż łańcuchy.
Głucho, pod okiem hetmańskiem zaklepano łańcuchy od
pola na osiach. Od strony wewnętrznej związano kolasy ~~kra~~
wielekroć postronkami. W przód taboru wprawiono
jedyne pozostałe działo. Bolki i narożniki uzbrojo
no w w śmigownice o kuli pięcio i ośmiofuntowej.
W drugim rzędzie szły wozy prochowe. Rannych,

obozowe zawady i konie ~~wierzchowe~~ siodłane umieszczono we środku, skąd można się było wydostać naszewnątrz obozu jeno labiryntem sześciokrotnym uliczek.
W ~~uliczkach~~ ciaśniach, między jedną linią wozów a drugą śpieszeni postępowali żołnierze z muszkietami w ręku, wszyscy pod znaki właściwemi i wszyku.
Samuel xiążę Koreckie i Wolmar Farensbach dowodzili na przedzie, Marcin Kazanowski rozkazywał we środku taboru, Teofil Szemberg miał pod komendą odwodową lekką armatę. Dwaj hetmani sprawowali bezsenną władzę nad wszystkiem.
Cały tabor mógł iść w bezwzględnej wozów ścisłości tylko razem. Jeżeli jeden wóz stawał, stawać musiał obóz wszystek zamknięty.
Dziesiątki tysięcy wrogów obskoczyły ruchomy czworogran. Kiedy orda tatarska co pary w koniu nań pędzi, Farensbach i Szemberg, oparłszy mu=

szkich na wozach wstrzymanych, spokojnie (mierząc) i cel-
nie ~~wierząc~~, skryci za parapetem skórzanych pudeł wozowych
trupami zaścielają pole. Ciemną nocą jesienną
brnął obóz przez Deli doliną. Wśród bezmiernego
trudu, zasypywany strzałami, mijał wbród błotnis-
tą jej rzeczkę. Kiedy skute wozy z osiami zarzyna-
ły się w mułach, a na głucho wprzęgione konie, za-
rabiając się po pachwiny, tonęły w bajorze, odci-
nał żołnierz uśpione, wkładał się w szlę i, jak
koń, ciągnął przy dyszlu. Ze ~~wszego~~ wszego ducha pra-
cując i ze wszystkich sił, wybrnął tabor z topieli.
O dwie mile wołoskie dalej przyszedł na Prutu wybrze-
że. Runął się nieprzyjaciel wszystką potęgą, usiłując
wozy rozerwać. Blisko do pierwszych wozów wśród
bitwy przypadłszy, obuchami młotów kruszył łań-
cuchy, berdyszami ciął sznurów spoidła. Lecz, jak
te wozy łańcuchem, tak skuta żelazna wola stare-

go hetmana siedemkroć posłuszeństwem i odwagą du-
sze. Uniesienie zaciekłe czynem się stało zaciekłym.
W krwawej bitwie strzelanej odbiegli janczarowie
wzniesienia, gdzie byli, i dział, które tam wciągnę-
li. Trupem ich pole zakryło.
Tu było pierwsze miejsce wytchnienia taboru.
Następnego poranka, wciąż bitwę zwodząc wytrwałą,
broczący krwią i rozlewając krew wroga, wstąpił
obóz w ~~[illegible]~~ rozległą dolinę Derlet. Staw tam był szero
ki – nadzieja wytchnienia. Lecz z nowościągnione-
mi hufcami uderzył tam właśnie sułtan Kałgaj
w ściany kolas. Działa ustawił za stawem, kon-
nicę rozciągnął wokół. Z gwałtem bił z armat
w obóz i rzucał wciąż nowe jezdne ataki. Wyszła
piechota z obozu polskiego i uderzyła z szaleń-
stwem w armatę sułtana. Pierzchły przed na-
tarciem szeregi i dwa działa tureckie zostały zdobyte.

Przysłał Gałga pod obóz jeźdźca z chustą białą i z listem. Udawał w liście, że pragnie zawarcia pokoju. Żądał przysłania pośrednika, świadomego mowy tureckiej. Wiedział hetman, że idzie o zwłokę. Wysłał Krzysztofa Drużbica, lecz przewidując podejście, do boju lud swój sposobił.

W jedności niedoli, w zakonie posłuszeństwa stali jego ludzie bezsenni, zgłodniali, przemokli, cierpliwie czekając. Wielkiego trudu obrazem kupili wodzowie niestałe dusze rycerskie. Z godziny na godzinę trud olbrzymiał, zwiększał się ciężar poświęcenia i przybywało ucisku.

Z godziny na godzinę rósł jedności cud.

Tu było drugie miejsce wytchnienia taboru.

Nie wrócił Drużbic z poselstwa. O świcie napadł Gałga na obóz i aż do południa szturmował.

Szarpiąc się, w bitwie zaciekłej wywiódł hetman z kętych swoich ulic zastęp jazdy i rzucił go znie

nacka. Wpadli w mnóstwo tatarskie, jak pocisk,
wnet zdobyli działo i dwie zielone chorągwie.
Po południu otoczony chmurami jezdnej tatarszczyzny
odszedł krypy tabor w swoją drogę daleką. Nie spo=
czął przez odwieczerz, wieczór i noc całą. Wokoło
miał pożary wsi, stodół, żeby nigdzie pożywienia nie
znalazł. A kiedy świt zajaśniał ujrzeli ludzie polscy
przed sobą wzgórza wyniosłe, wojskami okryte.
Strzelbą wróg obsadził wyniosłość, pułkami piesze
mi zagrodził padoły. Janczarowie bili z rusznic
w odwód taboru, tatarzy nań z boków wpadali,
działa stukły w ścianę przednią. Począł Siemberg
bić w mogiłę wysoką ze śmigownic, siekanicami
i śrutami nabitych, zlał ją krwią i drogę oczyścił.
Lecz gdy się naprzód hetman posunąć zamierzył,
Sam Iskiender wezyr szlak mu zaparł. Gęstemi
z dział strzałami zamknął nanowo drogi cieśnię ognistą

ze wszech stron skierował na obóz pieszc kolumny janczarów. Na rozkaz wodza polskiego ciurowie oręż przypasali, wdziali hełm po zmarłych rycerzach, dosiedli rumaków. Niska służba pachołów uszykowała się w hufiec i nagle wyszła z zawarcia. Szablą wsparła połginie nieprzyjaciela daleko, rzuciła się ku armacie, zdobyła chorągiew i zepchnęła janczarów z wysokiej ich góry.
Porzeł hetman przed siebie przez padoły otwarte. Dookoła Łaboru, ze wszech stron nieprzyjaciół korona. Ze strzał, z dymu i z ognia, z wrzasku śmierć wieszczącego — tej korony pałąki, zęby jej i promienie świecące.
Wróg zakwitł w oczach Polski idącej, jakoby chmur kołowe zwały, z których pioruny strzelają i grom zlata. Skoro katabasis aż do śmierci strudzone w lasy wkroczy, — wróg lasy podpala, a wicher głownie w obóz niosła. Skoro na pola stąpi puste, — wróg wokół

pali chaszcze, trzciny, kępy na łąkach, ścierniska, reszt-
ki zbóż, szopy na puszczy, sterty i stogi. Dym się
gęsty wlecze zwojami nad ziemią okrutną. Promień
go słońca przebić nie może, wiatr go rozpędzić nie zdoła.
Jeśli wojsko zobaczy dalekich chat białe ściany, -
wnet chaty płoną, a wielkie płomię miga się, roz-
dyma, trzepie, przysiada, skacze w górę i rozdziera
przestworze, ni to śmiech na świat cały z polskiej
sławy. Wielkie tam cudnokształtne drzewa dymu
kwitną spokojnie w niebiosach nad ludzkiemi krzy-
kami. Jeśli popod dymem błyśnie strumienia wo-
da radosna, wnet w nią orda dziesiątki tysięcy wdepce
koni i w bagno strumień zamienia. Wszystkie mo-
sty na drodze pochodu zerwane, a groble zniszczo-
ne. Zdradzieckie tam wyżłobiono kanały, wilcze
doły pokryto i niezgruntowane zapadnie. Wicher jesien-
ny zewsząd niesie dym rudy, oczy nękający i duszę.

Pali ogień pragnienia. Zagląda w oczy głód. Choroba w wozach skowyczy. Padają nieczem porażone konie. Lecz kiedy ogień wokoło tańczy na kresach widziałni i kiedy oddech zatłumiają dymy, niemasz drzewa na ogień i niema kiedy niąsa piec końskiego. W oczach z niespania widziadło się snuje. Strudzony żołnierz, w szeregu maszerując, śpi. Omdlały upada w bróżdę i zostaje na wieczny sen pod zgrzytającemi kołami, gdyż tabor przez jego trupów przejeżdża w swą drogę do strasznego polskiego celu, do niedosięgłej ojczyzny. Ciała od ran i pracy niezmierzonej zniszczone krukom zostają na żer. Człowiek woli żelaznej i pięści potężnej zdobywa pierwszy wóz z brzega, wali się weń i śpi twardo, a miejsce jego puste w szyku walecznym. Cichy, pokorny bohater za wszystkich czuwa. Krwawym idzie trapem bezsenny, spragniony, głodny,

głodem - pragnieniem męstwo swoje, jak kosturem, pod-
piera, - z bronią gotową brnie przez bajora, w deszcz,
w wicher, w dym, w tatarskie strzały.
Przez noc i ranek, wśród harców nieustających, wy-
dźwignął się hetman z padołów i o mil wielkich
trzy dalej opodal rzeki Reut przystanął.
Tu było trzecie miejsce wytchnienia taboru.
Ruszono stamtąd w pola płaskie, niewgarnięte oczyma
suche, w pustki żałosne. Powietrze nad polami od
pożarów gorące, pełne lotnej perzyny. Kurzawy tatar
skie wszędy stronami. Na niebie wieko dymu czarne.
A trawa tych spiekłych pól na poły od szarańczy pożarta.
Śmiertelny całun szarańczy, nieznośna dla oczu makata
powlokła grunt. Kopyta koni i pęciny toną
w szarawem robactwie. Schyla koń łeb, szukając
trawy, i miasto trawy wargami chciwemi owad
chwyta złowrogi. Prycha koń, parska z odrazą, ska-

cze w miejscu i z trwogi w pustkę daleką rży.
Zgniata ramiona coraz cięższy młyński kamień niedoli.
Do rzeki przeciął dostęp wróg. O wargach uschłych, o ję-
zyku, jak drzazga w bezludnej dziczy milczy człowiek
brnie. Nozdrzami wciąga wiotką perzynę, którą wiatr
lekki niesie.
Rozum się w tłumie mąci.
Tabor męczarni dookoła głów i przed oczyma, siedemkroć
hańby skuty łańcuchem. Zgorzałe oczy szukają w
polach pełgających ogniami jasnej wody kresowej.
— Dniestrze! Dniestrze! jasna wodo! — szepcą w pusty-
ni wargi spalone.
Rzemień butów od tygodnia niezzutych w nogi się
werznął i w spuchnięte golenie wrósł. Żelazo pan-
cerzów i kolczug przeżarło skórę i do zapiekłych ran,
do niemytych przestrzałów przywiera. Kirys odparzony
grzbiet orze. Szyszak się w czaszkę wgniata i sprawo

wany uciska mózg.
Pióra złamane żórawie, pióra strusie i orle ponad szyszakami z chichotem dziwnym łopocą. Jakowyś przyśpiewek śmiechu nad przyłbicami w stepowym leci wietrze.
Lica w ramach misiurek i hełmów z ciasna długie się stały, wychudłe, czarne i śmiech wzbudzające.
Stukają się w szyku złamanym rycerze, idąc piechotą w milczeniu — przed siebie. Konie nie popasane i nie po=jone kwiczą.
Z potłuczoną bronią, zeschłych ran pieczęciami dostojne kroczy kwarcianego towarzystwa dwieście człowieka.
Zbitą, obszarpaną, wielobarwną gromadą w ścisłości wozów kołace się spieczony zastęp litewski, napoły jataganem wygubion.
W twardem milczeniu ławą sunie Litwa.
Patrzy się w milczącą klęskę synów szlacheckich szpicni-

ocyma kozacki setnik Chmielniczenko.
Pośrodku wojska orzeł mogilnik. Sam na siodle.
Nasycony widokiem swych dni — w dumaniu jedzie.
Ciężko pod nim stęka koń i z głodu, wędzidło jeno
żując, wzdycha. Boki jego od tygodnia nierozsiodła-
ne w oparzeliskach zapadły, jak u zgłodniałej wilczycy.
A pod popręgiem krwawa piana.
Och, koniu...
Koniu hetmański!
Nosiłeś, niedościgły biegunie, pańską sławę po ziemi
wolnej i po ziemi cudzej. Chodziłeś pod kapy złoto-
litemi w tryumfie, a <u>sub clypeo</u> i pod buławą
w pośrodek bitwy. Wolnym szlachcicom ze wszech
ziem jak długie i jak szerokie na placu starożyt-
nych swobód ojczystych ukazywałeś pana jasną po-
stać, niosąc ją ku miejscu przenajwyższemu.
Któż spamięta, ilekroć z sejmu za trzeciemi wiciami

w stole swe strzemię nogą kładł?

Niewielu żywych pamięta, ilekroć szedł od miedz domowych przeciw obcemu gwałtowi kord przypasywać, wdziewać przyłbicę i bić się po nocy w polach, by spała pod wyciągniętem ramieniem Rzecz-pospolita, jako dziecię w kołysce.

Och, koniu!

Czyli zawiesisz o strzaskanym puklerzu do ojczystego progu powieść wyniosłą? Czyli na twoje, — koniu, — rżenie ocknie się tygrysi gniew, wzmoże do walki serce lwie? Czyli płomienny krzyk rozedrze upartą ciszę nad gnuśnemi miastami, nad zamki, groźną zwadę knującemi samowtór, i nad dworzyszczem, pełnem twardej pijatyki?..

Idąc wciąż przez spiekłe od gorąca pola szarańczy całą noc, i połowę dnia, dosięgło <u>katabasis</u> rzeki Kobeły. Minął ją hetman i brzegiem ciągnął dalej mil

trzy. Na drugim brzegu wszystka bisurmańska potęga biła wciąż z dział, janczarek i Turków. Za sobą miał wilki tatarskie. Odbili nacisk niejeden lisowczycy, walczyła do upadłego piechota niemiecka. Kiedy wszystkiem nacierali mnóstwem tatary, strzelał w nich Szemberg ostatkiem nabojów i wielkiem nawale wybijał ulice.

Po ośmiu dniach pochodu, niespania, pragnienia, bez strawy - omdlał lud. Strapieni głodem szaleli. Krzykiem lżyli hetmanów. Wody pragnący nie chcieli iść i na ziemię z rozpaczą padali. Wyszedł już proch i kule. Konie kolękały strudzone...

Napotkaną wieś Serwinnię zapalił wróg. A o czterdzieści staj, o dwie mile wołoskie świeciły już Dniestru jasne wody.

Nie dał żołnierstwu hetman chwili spoczynku. Naglił do marszu. Co prędzej chciał Dniestru łęgów,

rokicin i stogów dosięgnąć, tam się okopać, dostać widnych zdala stogów siana dla koni, wysłać komunika do Mohilowa po żywność, czekać posiłków i stoczyć śmiertelny, ostatni ~~mój~~ bój.

Ujrzawszy zdala wody Dniestrowe, powściągnął się nieprzyjaciel, zawahał, cofnął. Tatarskie gromady zdaleka krążyły. Stanął tabor bezsilny. Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Tu było czwarte miejsce jego wytchnienia.

Widziadła snu.

Skoro tabor przystanął i, wbrew buławie, nie chciał
dalej podgiąć, rozbiły rzec i synowskie i rzec kre=
wniaków namiot dla wodza.
Odpięli z ramion rycerze skóry lamparcie i skóry
lwie, niedźwiedzie i tygrysie. Rzucili je na ziemię
i z nich łoże wodzowi usłali.
Siodło pod głowę złożyli.
Odeszli.
Już od dziesiątka dni bezsenna, spracowana głowa
na wezgłowie upadła. Lecz do spoczynku daleko.
Serce w piersiach szamotać się jęło, jakby nowy, —
trzeci, — wewnętrzny wróg: to biedz w szalonym po=
locie, to nad jakowąś bezdenną otchłanią stawać
i w zgrozie zacichać. Przygasła siła widzenia.
Niesen bardzo dziwny, na pół zapomniany, jakgdyby
wieniec z tarniny okręgił kolcami spracowane
czoło. Podła i mściwa siła rozpaczy na piersiach usiadła.

Chmurami kędyś w nocy pędzą dookoła taboru zgraje nieprzyjaciół, – męczeńska Polski korona.
Chmurami mkną purpurowemi, – nachylą się i w ciemności odlecą, – wiotkie sny.
Zdało się w jakowejś chwili, że od dzikiego w nocy zawycia pędzących tatarów wolno i lekko wydęła się fa=listo i zawahała, a później w górę podniosła zasłona namiotu – w tem miejscu, przez które wyszedł był syn. Ktoś w przejściu stanął ciemnem.
Blask od pochodni w obozie płonącej padł na ra=miona widziadła.
Młodzieniec na poły nagi...
Ciało jego ciemne, wysmukłe, ścigłe. Twarz sucha.
Na piersiach, na żebrach i na biodrach jego lek=ka kolczuga, niby koszula z jedwabiu. Nie zakry=wa mu szyi, ramion i rąk, a lędźwie osłania brzuch. Nagie, wysmukłe nogi tylko na goleniach

pokryte są bronzowemi plechy, które w pół łydki obramia (w metalu rzeźbiona) koronka. Nieosłoniętą głowę owiewa długi włos kędzierzawy.
Po barwie skóry, po oczach i kształcie lic znać, że z puszczy wschodniej przybył. Na biodrach jego pas, rzeźbiony w kwiat róży dzikiej. Muskuły rąk i nóg jeszcze się prężą od zwinnych w biegu skoków.
Żyły prawicy, chudej, jak u dziewczyny, niby sznur tęgi biegną ku dłoni i zdają się oplatać krótki miecz, co w uścisnieniu palców nierozerwalnem kurzy się jeszcze od krwi dopiero przelanej.
Krótki to miecz, nie dłuższy nad italską dagę.
Lewa ręka w bok wparta.
A żebra tego boku, widoczne wskróś przeguby kolcsugi drżą z gwałtem. Twarz niewymownego uroku w uśmiechnieniu zastygła.
Szczęście zwycięstwa, uniesienie, co już wyżej podlecieć

nie złota i na wysokościach stoi w zawstydzeniu, widać na ustach, jak u dziecka niewinnych, — choć przez nie leciał przed chwilą krzyk sępa, upatrzoną zadającego śmierć. Nieustraszona myśl, strzelała prze=szywając, z tych oczu. Namiętna czułość drży w ciele, kipiącem od ukropu krwi. Zdało się, że młodzian ten jeszcze słucha krzyku tłumów, które w nim świe-go pozdrawiają ducha, żądzę swej cnoty, zwycięzcę, wzywają go na (~~[illegible]~~) siodło (wodza, — a on uśmiecha się nie do krzyku tego, lecz do krótkich westchnień, bojaźni-pełnych, co się jeszcze nie spaliły do cna w głębokiej duszy przed walką.

Tam, nieruchomo stojąc u kotary płóciennej na=miotu, zawołał zdala:

— Hetmanie! Hetmanie!

Jęknie hetman:

— Gończe, — ktośkolwiek jest, — cóż przynosisz?

— Echo szczęśliwe.
— Niemasz dla mnie szczęśliwej wieści w okręgu ziemi.
— Podnieś się, serce hetmańskie!
— O wieczna walko! o walko! o walko! O wieczne czuwanie!
— Rozewrzyjcie się oczy na światło.
— Cóżbym jeszcze mógł ujrzeć?
— Spojrzyj!
— Czy nie zginął mój syn?
— Przypomnij, to przypomnij!

Strumień po ostrych, po rumianych i siwych pluszcze kamykach. Sepleniąc między korzeniami, w dół leci z łęgoboru, z pachnącej smołami góry. Słońce w przeczroczystym nurcie migota. Kąpie się w zimnej wodzie i bryzgi złotolite otrząsa. Muszki polotne, miody łodyg wysysające, bawią się na liściach żółto zakwitającej krzewiny. Przecinają

skrzydłami wiatru jasność i chłód, – wiatru, co wzdy= ma się, przelata i zacicha, – dźwonią skrzydłami o słońca struny nawiązane.
Wonna poziomka czerwieni się pod liśćmi ostro skrojo= nemi, na wysmukłej ciężkiej odnóżce. Zgina się badyl różowej centuryi pod ciężarem tchórzliwego trzmiela, co kosmate swe ciało w gorąco-wonną, w gorzką smo łę zatapia. Złotem, lazurem i barwą zorzy wscho= dzącej pisane skrzydła motyla, to się łączą ze sobą, jakgdyby w lęku o kruchość tajni nadobnego pisma, to się rozwierają bezczelnie przed słońcem, ni to obłąkana młodości zgodza niebezpieczeństw.
Skinienia tych skrzydeł odmykają i zawierają głębokie drzwi władzy dumania, dumania pier= wotnego, własnego, które zamknięte jest wewnątrz i nisko, w kole ścisłem, w kręgu niedostępnym, zdala od jakichkolwiek w okrutnych walkach zdo=

byłych trofeów ludzkiej mądrości.
Lilia leśna, złotogłów, stoi wysoko na brzegu, ponad czystym strumieniem. Stopki jej cebulaste zagrzebane w chłodzie urwiska, korzeń szczerozłotem odziany pije z ~~[illegible]~~ głębiny mocny trunek żywota. Kwiaty nad żywą wodą zwieszone jej jednej, (wodzie żywej) dają oglądać wewnętrzne strony szkarłatem wysłanych kielichów. Głęboko, jasno i długo, jakgdyby nienasycone własnej piękności doskonałym czynem, jakgdyby usiłując same siebie drugi raz utworzyć, kształt swój powtarzają i kolor.
Gdy stopy brodzą po korzeniach lilii, kosaćców, a pięta lgnie w wilgotnych kępach niezapominajek, gdy oczy toną w falach powabnych, w pręgach i liniach kielichów, a czarowne skrzydła motyle po powietrzu je noszą, wpośród niebieskich obłoków kołysa się myśl:

— Któż jest człowiek?
Jakie jest jego miejsce wśród suszy i wody, wśród zwierząt, motylów i kwiatów?
Jakiż być powinien czyn jego?
Czyli człowiek powinien w ciszy ducha bytować i w niezawodnem szczęściu pokory na obraz baranka w dolinie, — na obraz lilii cnotliwej, co ziemski sok pije, — czyli powinien, jak ona otwierać kielich posłuszny swej duszy ku słońcu, a zamykać umięgły i wpuszczać go w nicość, gdy nadejdzie przeznaczona pora?
Czyli ma człowiek otworzyć tajną serca ciemnię, gdzie wieczny niegasnącego pragnienia jęk czuwa, — czyli ma wyzwolić zaczajoną żądzę swej istoty, żeby wychynęła po władzę nad światem?
Czyli ma człowiek w cichości pożywać owoc ziemi rodzącej i wielbić ją sercem niewinnem?
Czyli ma uściskiem dłoni żelaznych ugniatać ze

wszystkiego kształt nowy na obraz tajemniczej chime-
ry myśli swej, — a wolę niezwyciężoną, swoją własną,
tworzącą w krwawem cierpieniu i wśród krzyków
boju weń tchnąć?

Dajcie odpowiedź, o wielobarwne skrzydła motyle, co
się, jak dłonie kapłańskie, za nas rozwieracie i skła-
dacie nabożnie przed słonecznym promieniem!

Dajcie odpowiedź, kwiaty, które barwy czerpiecie z
łona ~~obłoków~~ chmurek porannych, ~~a~~ z nędznych w gnoju korzeni ziem-
skich wydzieracie się ku świeżym i rumianym obło-
kom, a nad obłoki górujecie czarodziejstwem zapachu!

Daj odpowiedź, ty wodo, wydająca przez wieki
wieków dźwięk swój, zawsze jednako tajemny...

Dajcie odpowiedź ~~obłoki~~ wędrowne chmurki niebieskie, które co dnia
oglądacie wszystko z wysoka, co jest na lądzie
i na morzu...

W czystym lazurze szybuje ptak drapieżny i złowrogi

swój cień wlecze po kwiatach, po ziołach wypijają=
cych wodę z brzegów ruczaju. I trwoży się przed
nadciągnieniem ptasiego cienia czerwony, żółty i błę=
kitny kwiat. Już serce rozerwie błogoziszczony sen,
koło zamknięte, gdzie się w ciszy ducha kołysało,
jakoby zielony pęd latorośli w rozgrzanym wiosny
powiewie. Na dnie jego drgnął lęk.
Nieulękła, drapieżna myśl, jakgdyby jastrząb ciemno
piory szybuje w niebo.
Procę masz w dłoni, łajstrę na nagiem ramieniu,
a w niej płaskich kamieni pięć, któreś w stru=
myku pożądliwą dłonią wynalazł. Nasadzisz
w procę kamień gładki, okręcisz ją potężnym
ramieniem dookoła głową i puścisz procy ko=
niec jeden.
Kogo ugodzi śmiertelny twój cios?
W kogo mierzysz, procarzu młody?

Milczenie — twoja odpowiedź.
W duszy twej rozlega się psalm ziemi kwitnącej, pracy swobodnej, siły niezłomnej, miłości wiecznej. W psalmie twym, - ofierze całodusznej wszystkiego uczuwania, - dźwięk się przytula do dźwięku, rym się przymierza do rymu, niby jedno do drugiego skrzydło motyla, niby lilia-złotogłów do swego w strumieniu odbicia, niby pochylenie do pochylenia pędu latorośli. Słabość tam wstępuje pod żylaste barki mocy i przymierze z nimi zawiera, a barki mocy rozciągają się od zachodu na wschód. Siła przeistacza się w radość, a z radości, jakoby kwiat z korzenia, wystrzela miłowanie.
O, miłowanie młodzieńczej duszy!
Nie popuści złemu ani piędzi świata tego, który w serce się wcielił i w psalmie wiecznym zamieszkał!
Wychodź, ktokolwiek mącić zamierzasz psalm ducha!

Ty, co zaczynasz psalm Ducha, – zaczynasz święty świata porządek.
Wychodź, nieprzyjacielu!
Gotowy jest duch na twe spotkanie, na potrzebę z tobą i na odparcie twojej mocy!
W głębi psalmu, jakoby z pochwy, wybłysnął miecz.
To pierworodny gniew na złe.
Zwodzą się brwi, jak mściwego łuku cięciwa i bolesna strzała samotnej myśli, drży, czekając na ciosu upuszczenie.
W imię pańskie wychodzi procarz samotny.
W imię pańskie nasadził płaski krzemień w gąbkę procy rzemienną. Wiara niechybna złączyła sznury oba w dłoni, zawarła palce, milczeniem okuła usta.
Cokolwiek bitwa przyniesie, – zwycięstwo, czyli zgon, – siła, radość i miłowanie, jak płuca, w duchu dysza.

Patrz, hetmanie!
(Dłonią, co na biodrze była wsparta, młodzieniec
uniósł wysoko i daleko zarzucił zasłonę.)
Spojrzy hetman...
Olbrzymia widzialnia...
Po prawej ręce zręby i wyrwy, schody i korytarze,
sklepione łuki i szczeliny tajne, wyniosłości i zawa=
liska na palatyńskiej górze. Ujęte w zwoje cyprysów
i dębów wiecznie zielonych, uwieńczone laurem i
bukszpanem uśmiechają się z gajów kamelii, - jakgdy
by czaszka, opleciona wieńcem weselnych róż.
W słońcu tam leży sen o geniuszu, o gwałcie żądz,
o potędze miecza i o bezdennej nędzy człowieka.
Gniazdo orłowe, gdzie wśród nocnej rozpusty lęgły się
zamysły podboju wolnych narodów, - kunszt stwarzania
niewolników, - gdzie młodym orłom lotki rosły i wydłu=
żały się pióra do śmigania po okręgu ziemi, zata=

84

czające kształt pętlicy postronka nad pasterzami i
łowcami niewiadomego języka i obyczaju, — gdzie się
hodowała tajemniczo-mądra umiejętność narzucania
dybów i duszenia w nich plemion w zgodzie z ich
wolną wolą, — nauka mordowania, pogwałceń umowy,
burzenia miast, niweczenia prastarych kultur, za-
deptywania odwiecznych cywilizacyi, krycia ich pod
piaskami pustyni, — i sztukmistrzowstwo budowania
świątyń świata wieczyście nowych, niezniszczalnych sal
rady, cudnych termów, domów ludu, radosnych cyrków,
jak sama myśl o sławie pięknych łuków tryumfu —
w jednem na ziemi ukochanem mieście...
Szeleszcze niewymownie stopa, sunąc po płaskich ka-
mieniach — i po marzeniu tylu pokoleń, co się
tuli w złomach ruiny.
Żałobnie rozlega się krok w przejściu Septimusa
Severowem. Oblata echo trzy kolumny świątyni Jowi-

sza miotającego pioruny... Budzi się tęskny czar, uśpio=
ny między zadumanemi Castora i Polluxa słupami i pada
znów w zaklęte milczenie u stóp samotnej kolumny
Phocasa, w której przez wieki trwa koryncki kształt...
Ze wzruszeniem rozgarnia dłoń rdesty, porastające
osypiska u źródełka świątyni Vesty i tajne pokoje
służebnic bogini...
Zcicha, nabożnie przyczajona stopa mija Tytusa Wespa=
zianowego łuk. Coś swego składają wargi, gdy oko się
wałęsa po rytych w marmurze kronikach tryumfu,
po rzeźbionych dziejach zburzenia świątyni, wydarcia
z niej siedmioramiennego świecznika, świętych ksiąg i zło=
tego stołu, — po koniach, ciągnących wóz chwały, po
figurach milczących liktorów, po postaci bogini
zwycięstwa, wieniec wkładającej na skronie tryumfato=
ra, po symbolach potęgi i dumy, — z których
deszcz wypłakał sławę i które wyśmiał, wyświstał

wiatr, lecący przez wieczność czasu.
O, wietrze, przemykający tem wejściem na pole ruin stulecia za stuleciami! Potęgo, która tyranii i bezprawiu pomnik zbudowałaś, nie przeczuwając, że budujesz niezniszczalny sylogizm, doskonałego piękna i wymowy pełen, o nicości człowieczej tyranii i o omylności bezprawia!
Dumanie w Łuku Tytusa, – któż cię wysłowi?
Po lewej ręce chram Konstantyna, którego sklepienia, zamknięte w kasetonów ~~[illegible]~~ urok, szalańska zuchwałość artysty w drzazgi targała, aleby posiąść tajemnicę przedwiecznej budowy i nowe, niewidziane na ziemi sklepienie rzucić pod niebo...
Znowu po płaskich kamieniach dźwięczy posągliwy krok.
Murawa wiosenna płonie od rumieńca koniczyn. Indyjski mirt, bukszpan ościsty i szare drzewieczko oliwne na zrębach czerwonych pokruszonej tegulі...

Circus Flavius!
Olbrzymie jamy okien, przez które widać obłoki w dal
żeglujące... Wokoło murów postrzępane równościenne
pilastry i szczytne kapitele. Głazy te zbuntowały
się przeciwko geniuszowi, marzeniu i sile człowieka,
omyliły jego czujność i, niby chytre zwierzęta,
przemocą, wbrew ich naturze wytresowane, lecz
ku ziemi z podniebieskich stanowisk, z z podobło=
cznych czatowni, żeby się w dawne, naturze swej
właściwe rozpadać kształty, kryć pod murawę,
od koniczyn rumianą, pod wszędzie dopełzający
chwast zapomnienia, wrastać znowu w błoto
i zgrzytać szyderstwem z dawnej swojej postaci
pod nogami przechodzącego barbarzyńcy.
Ponachylały się tam i sam korynckie kolumny.
Pożarł czas jońskie głowice drugiego rzędu.
Wrosły w mur głuchy złupione przez najeźdźcze

zgraje sołdatów słupy dorycskie pierwszego piętra.
Wnętrze!
Potwornej wielkości głazy, wyważone z gór i wśród rozów bata, potu i łez, bez tchu przywleczone pylnemi drogami na bidze skrzypiącej, - skrzesane w ukos i wszczepione między głazy w ukos rozwarte, ~~głazy~~ siłą swą własną tworzą niewzruszone sklepień zwornice. Gdziekolwiek wysoko pękła arkada, tworzy się podobizna szczelin w albańskich skałach. Wiatr tam kołysze drzewko mirtowe, przelatujące wskroś wyłomów i szpar, wijące po galeryach porostych szalejem, po lochowiskach, sklepionych kanałach w głębokiej ziemi, - po śliskich, czarnych schodach w rozpacz (przedzgonną jaskiń) wiodących.
Głowa przychodnia dźwiga się, wznosi i porywa ku widzeniu pospolitości tego, czem jest śmierć. Oczy się natężają do rozpatrzenia jej bez trwogi, bez

bez nienawiści, bez pokupnej żądzy, bez jakiejkolwiek
podniety, bez wzruszenia.
Aż oto nagły łoskot po wszystkich rozłogach duszy,
w przepaściach jej i na szczytach, jakgdyby wrzask
trąby wojennej w nocnem milczeniu.
Zstępuje z górnych galeryi po olbrzymich, kamien-
nych skrzyżalach widmo młodzieńca w ciemnej
kolczudze. Nagie, wysmukłe jego nogi tylko na
goleniach pokryte są bronzowemi blachy, które
w pół łydki obramia rzeźbiona w metalu koron-
ka. W ręku jego krótki miecz, nie dłuższy nad
italską dagę.
Nie zechciał ~~[illegible]~~ być widzem.
Chce być Aktorem.
Idzie Zwiastun, Zwycięzca, Waleczny, Dawid.
Na ustach jego uśmiech radosny.
Burza włosów na skroni, jak powiewny proporzec

od wielkich kroków, – gdy zmierza w dół.
Na odgłos jego kroków – w podziemiach, w lochach, w grobowiskach rozpaczy, w pieczarach Colosseum – krzyk – jeden – drugi – trzeci!
Wielka rota ludzkości woła wsi – Wodza.
Wielka rota ludzkości czekała w ciemnym lochu stuleci tyle! Wielka rota ludzkości czyhała bezsennie na moment swój, żeby naraz wyrwać z pochwy miecz, gdy da skinienie wódz.
Wielka kohorta bohaterów, męczenników, proroków, wieszczów i twórców...
Wyjdzie naraz na arenę wielka kohorta w pancerzach z płomienia po schodach świętych.
Trębacz naraz zadmie w hejnał przedjutrzniany na wschód, na zachód, na północ i południe.
I rodzaj ludzki ocknie się o samym poranku...

Lecz oto, kiedy Dawid na arenie stopę postawił,
z ciemnego otworu wysunie się nie proporzec
wielkiej kohorty ludzkości, lecz stadem chyżem
wybiegną lamparty żółtawe.
Idą nań po jasnym piasku cichemi, miękkiemi
kroki. Przysiadły na ziemi świętej i wlepiają
jaskinie ślepiów w srebrną kolczugę młodzieńca.
Młodzieniec przelotnie wejrzał na lampartów stado.
Szedł ku nim w światłości pogardy, ścisnąwszy
mocniej w prawicy miecz, — z oczyma utkwione-
mi w obłoczku biało-różowym. Gdyż właśnie
chmurka wszystkowidząca żeglowała po niebie
z nad tej areny w stronę samotnej, srebrnej
w lazurach góry Soracte, — ku puszczom morza,
gdzie, biała, złośliwa wełna błyska w ciemnej toni,
jak zęby śnieżne w złowieszczo śmiejących się ustach,
ku rumianym drzewkom gorzkiego migdału, co

zakwitły na skałach czarnych, dalekich wysp
w spienionem morzu...

Ustał zmieniacka i w niwecz się rozwiał sen o młodzień-
czy. Przebudził się hetman. Westchnął za snem.
A nim westchnienie w słowie zgorzało, zawrą się
na głucho powieki. Nowe widzenie dołęgo chce
niesie duszę. Przedziwna roztacza się zmiana...
Dawne, minione, zapomniałe przeżycie...
Patrzę w nie oczy z czułością...
Rynek krakowski...
Maryackie wieże, Zborowskich szare gniazdo, dom
Montelupich, dom Boniców i księżący, dom pod
barany i Bernata Maciejowskiego spiski pałac...
Wszystkie w rynku okna i ganki pełne głów. Uro-
cze twarze dziewczęce i niewieście, - lilie i róże, -

we framugach i wnękach. Po dachach kamienic, po murowanych attykach, w zagłębieniach gotyckich, na kominach, na wieżach — żaki, pauprzy, czeladź.
Zwisają ze wszystkich okien po surowych ciosach murów, po skarpach i narożnikach, po obramieniach okien i wygarach drzwi wielkie adziamskie kobierce, cudnie wielobarwne deki, haftowane kilimy, listy złotogłów, gruby wzorzysty adamaszek, szkarłatnie, złotem upstrzone, w bitwach zdobyte dywdyki, jedwabna kamcha turecka i ruska parcza rubinowa.
A w Szpiglerowskiej kamienicy na krużganku Jego Mość sam Stefan król z królową Anną zasiędzie.
Jedwabna, złotolita lama z orłem po niej cudnie dzianym z okna tam patrycjuszowskiego Bethmanów aż do samej ziemi zwisa.
W drugiem oknie nowożeńcy, Jan Zamoyski,

z Gryzeldą cudnej urody, królewską synowicą.
Jeszcze raz, jeszcze raz ogląda hetman łzami oczu
strzały wież, mury ratusza i sukiennic, rojące
zgiełkliwe ulice... Słyszy jeszcze bicie dzwonów,
dźwięk radosny porywającej muzyki i gwar wesoły
szelestnej, szumnej, bogatej ojczystej mowy...
Złotym piaskiem wiślanym grubo wysy]7.pany rynek
od domu pod baranem po Szpiglerowską Bethma
nów kamienicę. Plac przed królewskiem siedziskiem
ogrodą mocną, parkanem ostrokołu otoczony.
Tuż za szrankami stanęli murem potrójnym
rycerze spod Gdańska, spod Wielkich Łuk, spod
Pskowa i niezłomnego Połocka. Błyskają na słoń=
cu czerwcowem tarcze i dziryty. Stu ciężkich
kopijników siedzi na koniach, okutych w stal.
Na ramieniu ich długie rusznice. U boku przy=
krótsze miecze. A buzdygan nad nimi trzyma

Stanisław hrabia z Górki.
Po drugiej stronie szranków piechota w pancerzach
z siekierami do ciskania łatwemi, z dzirytem
i pałaszem. Pod oknem króla jego piesza gwar-
dya w fioletowem ubraniu z hajduków, węgrów,
i czerkasów zebrana. Rusznice ich długie, zakrzy
wione szable, w ręku czekany.
W dali huk strzałów i w kotły bicie.
Przygasa gwar, — przygasa.
Samotny odgłos trąby.
Cisza.
Król w oknie.
Postać jego zwięzła, urodziwa, czerstwa. Widać w
niem wielką siłę i zdrowie. Twarz przystojna,
rycerska, pociągła, rumiano-czarna. Krucze włosy
krótko strzyżone okalają te lica żywe. Nos zakrzy-
wiony, z jakim zazwyczaj Attyllę malują, — usta

nieuśmiechnięte, – oczy surowe i zimne.
Ledwie król siadł, otworzą się szerokie szranków
wrota i środkiem ulicy, przez heroldów wśród tłumu
wyżłobionej, jadą na koło rycerze. Przed nimi
biegnie orszak mnogi pieszych dworzan i giermków.
Dudarze karpaccy na kobzach grają.
Przed magnatami w szranki jadącemi niosą tref=
nisie i karły pułkownikowskie, rotmistrzowskie
i porucznikowskie buzdygany ze stali damasko=
wanej, na wielkołuckich i toropieckich polach
żelaznemi prawicami wypiastowane.
Sędziowie turnieju miejsca zajęli.
Surmaczów zagrzmiały ~~w~~ trąby.
Wyjeżdżają na jasne koło zapaśnicy, do kolan
okryci stalą, w chełmach zawartych i w opusz=
czonych kratach. Konie ich dywdykami powłócza=
siodła sadzone kamieniem, srebrem nabijane

i złotem. Na każdym rycerzu starożytne, przednie
i zadnie polerowane blachy pancerzów, szorce, kar=
wasze, nagolenice i nakolanki. Wielobarwne
strusie pióra wieją na szczycie rysaków i na
łbach koni, stalą naczolników okrytych.
Każdy z rycerzy pod pachą ma drzewo, u boku
miecz i tasak, czyli kord.
Zwolna we dwu krańcach placu staje naprzeciwko
siebie czternastu wojowników.
Widzi ich znowu hetman...
Podlecki Bylina, Andrzej Grudziecki, Paweł Juno=
sza Piaskowski, Krzysztof Tarnawa Broniowski,
Mikołaj Rogoziński z domu Habdanków, Bro=
nisław Nałęcz Orchowski, Jan Dobek Gryf...
We dwa hufce się dzielą.
Każdy ma chorągiew hetmańską z nowoicica cyfra.
Na jednej widnieje napis: „Cernit et audit”.

" '

Na drugiej: „Utraque civis."
Zsiadłszy z koni, współzawodnicy przepraszają się społem, — jeśliby który za przypadkiem obrażon był i zabił, żeby zabójcy odpuścił...
Skłonili się wzajem.
Wstąpili w strzemię.
Dosiedli rumaków.
Kopije wraz, jak jeden, przycisnęli ramiony do żeber.
Stopy wsparli w strzemiona.
Wrzask surmy.
Spięły się na zadach żgnięte ostrogami konie.
Runą na siebie.
Trzeszczą pękające drzewca. Dzwoni i zgrzyta miecz.
Iskry się sypią spod korda. Rży koń.
Gdy Grudzieckiemu kopija przez rękę przebiegła, —
gdy ze strzaskanem ramieniem Kazimierski
Biberstein, wysadzony z siodła, runął na wznak,

gdy idzie zwycięzca po złoty wieniec ku oknu
Anny królowej i ku czarodziejskim uśmiechom
na licu Gryzeldy, — wzrusza się dziko wielki
tłum. W wolne powietrze uderza złoty wrzask
trąby, a pod tęgiemi dłońmi widzów szczęka
z roskoszy broń.
Ledwie giermkowie unieść zdołali rannych z boiska,
rozsunie się żelazne koło rycerskie i wydłuży w
lśniącą, pancerną ulicę.
Wyjechał z bramy domu „pod baranym" Mikołaj Wol-
ski, miecznik koronny, na słoniu, za Cyklopa
przebrany. Siedzi w wieży ozdobnej, z której raz
wraz kule świetliste tryskają.
Za słoniem zdąża Mikołaj Zebrzydowski na wozie,
który ciągną białe i czarne godziny dnia, — jako
Saturnus, wiek złoty wiodący za sobą. Wóz Saturna
poganiа Czas, obleczony przez symbole słońca i gwiazd.

W ślady Saturna wstępuje wnet Jowisz, którego wyobraża Stanisław Miński, herbu Prus. Gromowładzca siedzi na wozie, ciągnionym przez trzy orły czarne, - a trzyma w ręku gwiazdę, z którego biały orzeł wzlatuje.
Słowo minęły koło i zeszły z oczu tamte obrazy, ze szpiglerowskiej wysuwa się bramy, zwolna koły sze i ku zgiętkliwej radości wielkiego tłumu w rynek sunie brama tryumfalna.
Przed nią kroczy zastęp piechy w kilkadziesiąt człowieka. Za nią trębacze, chorągiew, jazda.
Przed jazdą, w odstępach, rotmistrze.
Przed każdym rotmistrzem giermek, kosztownie odziany.
Dźwięczy w uchu hetmańskiem piechoty krok, połyskującej krótkiemi na ramieniu szefelinami o złoconych grotach trójgrannych starorzymskim wzorem. Okrągłe, rzymskie tarcze ze skóry o

żelaznej pośrodku ostowie ściankę ruchomą stwo=
rzyły. Krótkie miecze w bronzowej oprawie, z cy=
zelowanemi główniami w linię ich wiążą.
Za wojskiem na wozach wspaniałych płyną promi=
dzy ciżbę podobieństwa spraw wojny, dokonanych
pod Wielkiemi Łukami, pod Połockiem, pod
Sokolską twierdzą i Pskowem. Obraz Inflant
zdobytych, wizerunki miast, ogarniętych płomieniami,
zamków — Krasne, Grodek, Siłno, Newel, Ostrów,
Zawołocz, Toropiec, ogniem dobytych, — przesieczy
w lasach, którymi otworzyła drogę na Ruś siekie=
ra węgierskiej piechoty, — widoki oblężenia
murów i sposobów ich dobywania.
Na innych wozach zwalono pancerze, „szlemy",
„szczyty", „Łaty", zbroje rycerzy moskiewskich,
oszczepy, miecze, drzewca i broń. Za tymi wozy
szli ludzie łańcuchami, jakoby więźniowie i wielka

zdobycz.

A na samym końcu posuwał się najwyższy wóz we cztery konie białej maści ciągniony. Za tym zaś wozem przywiązany szedł człowiek, jakoby Wielki Groźny Kniaź, co syna (rodzonego), — według gminnej powieści, — jada ~~rodzonego~~ nie wahał się w piersi pchnąć kosturem i zamordować za to, że polskiego pochwalił króla.

Za tym zaś atletowie szli inni, jakoby hetmani walecznych Rusi wojsk, wojewodowie zamków wytrwałych, rycerze, służba ich posłuszna z żonami, z dziećmi... A wokół nich, podskakując, pomykał się, przysiadał błazen ucieszny, który się dziwnie wesoło naśmiewał z poważnej dumy Groźnego Kniazia Wszej Rusi, — który go w ucho palcami bił, za dołmę ciągnął, w tył łbem, jak baran, fikał...

Grzmot śmiechu na widok figlów jego i drwin
po gankach, oknach, drzwiach, po attykach, da=
chach, wieżach...
Cieszy się w mocy swojej polski lud.
Klaszcze w dłoni i chichoce dowoli.
Obok wozów tryumfu kroczą niewieście postaci
w wiotkim atłasie z woniejącemi lampami.
Wpośród nich cudna muzyka.
A wszyscy w ~~..~~ kwiatach, w wieńcach...
Wzniósł się sen jakgdyby wyżej.
Przestał być jeno widokiem.
Weszło weń samo życie i głębokie aż do skryte
go dna uczuwanie.
Postrzega hetman w martwych mgłach snu, w ciem=
nych głębiach uśpienia samego siebie i staje się sobą
do cna...
Lekkim, żywym krokiem z ciemnej ulicy wynurza się

w rynek krakowski.
Nie jest sobą, rycerzem polskim, lecz jest boginią Dianą.
Na ciele nagiem ma jeno lekką szatę zieloną.
Szata u kolan klamrą spięta.
Na stopach ciżmy kreteńskie.
Kołczan pełnostrzały u ramion, w ręku srebrny
Łuk, z którego pocisków świst wyrywa z powietrza
skrzydła orłowe i sępie, przecina bicie serca dzi-
ka, niedźwiedzia, ~~wilka~~ żubrza i lotnego jelenia.
Wzburzone włosy, spięte gałązką tarniny, oświeca
półksiężyca dyadem.
Powab twarzy, zarys klasyczny czoła, nosa i ust, piękne
oczu, kształt głowy Apollina Citareda przypomi-
nający — nadał się, jak żaden inny, do ukazania
oczom ludzkim siostry słonecznego bożyca.
Jak dziewicze piersi jej wyzute ~~zostały~~ są z pełni
niewieściej, a biodra i ramiona wychudły, ~~[illegible]~~=

stały się twarde, muskularne, ścigłe i wysmukłe na podobieństwo młodzieńczych od wiecznych pościgów, łowów, od nieustającego biegu i skoków, wskutek przebywania wpław rzek, przez ciągłe gry, zmagania, walki, wysiłek i ćwiczenie, — tak znowu tęgie młodzieńcze lędźwie, kształtne ramiona w wojennym trudzie rozwinięta pierś, jak u nierozkwitłej dziewicy — upodobniły rycerza do córy Latony.

Czternaście najczarowniejszych nimf Polski otacza go ze wszech stron. Półnagie ciała dziewiczych, dzikich, błędnych nimf ze wstydu drżą pod oczyma żelaznych rycerzy. Tuli się do bogini Diany ich panieństwo, gdy na kraj przyłbic padną w nie gorejące oczy...

W popłochu, wśród szczekania, skomlenia i wycia wiodą nimfy na smyczach mnóstwo chartów,

driaty,

sfory naszczekujących ogarów i kundlów, ~~przyucza~~ przenaczo=
nych do stanowienia dzika w ostępie.
Środkiem tej zgrai prowadzi bogini na złotych
wodzach dwa cudne, rozłożystorogie jelenie.
Niezgłębiona i niewymowna tajnia głuchych głosów
młodości, która w tamtej chwili pamiętnej serce
przejęta, - rola bóstwa pięknego wówczas zagra=
na, - jeszcze raz z całą mocą ozwała się w tym
czarującym śnie. Oto stał się powtórnie samotny
nad ziemię wzlot, - junackie włamanie się w
świat półbogów, - żmudny, krótkotrwały byt w
ich kołysku, - zrazu odległy, później coraz donio=
ślejszy z bóstwem Diany zespół w jedno, - prze=
istoczenie się w nią, - w jedną niepowstrzymaną
potęgę i w jedną postać zwarcie się dwu płci.
Siła mężska tak nieposkromiona, drapieżna, bez=
wstydna i nie do zniesienia, że pod jej spojrze=

niem zwierzę drży, a spazmem bolesnym kurczy
się kobiece łono, — i nieskalana dziewiczość,
cnota czułej litości i dobroć najsubtelniejsza,
zlały się w obrazie widma bogini, kroczącym
przez krakowski ciemny rynek.
Niesie rycerz przez milczące koło wojowników
w ponadziemskim uśmiechu sen o tej nocy
nieznanej nikomu z nich, która się zawarła w
pocałunku, złożonym przez bóstwo na ustach
Endymiona śpiącego, a zarazem o tej, z którą
bóstwo patrzało w swej bezlitosnej ponadboleści
na Hipolita skon.
Chyże, jak błyskawica i jak ono przerażające,
najdziwniejsze z uczuć jeszcze raz sercem wstrzą-
snęło.
Zalśniło i przemknęło górujące.
Stronami kędyś przewiało, znikające, — ni to w

nocy niewidzialne skrzydła husarskie, gdy dokądś pędzą nad nędzą w ziemi-gniciem w kopyt rączych tętencie...

Śni się precz, śni się dalej, że to nie tylko przez ulice Krakowa ciągnie zgiełkliwy orszak i sfora, lecz od karpackich pogórzy gór do szumnie-piennego morza i od Byczyny po Psków.

Stopami zoranemi od granitów i piargu orłowych turni polecą nimfy po osypiskach kwarcu, po jałowcowych pustkach wśród skwierku stad kwiczoła i świergolenia jemiołuchy, — po jodłowych borach, gdzie ćmiaka w bagnie pysk wieprza dzikiego, — po suchych sośniaych i brzozowych mazowszach liliowowrzosych, skąd złota sarna pomyka, — po bajorach, obrosłych rokitą, osędziałą od leniwej mgły, — aż do puszczy wielkodrzewów, gdzie ponuro chrząka żubr.

Na szyi, i na ramionach chłód rosy rannej,
oddech lasów, drzemiących z prawieka po sto=
kach tatrzańskich gór, zimno zeszroniałego śnie=
gu, bryzgi wodospadów i ostre smaganie wichru.
W nogach skostniałość, jakgdyby stopy brodziły
po wodą przesiąkłym mchu puszcz osędziałych,
żywicą przesiąkłych pod Pskowem, - i w słonych
pianach fal, chłoszczących piaski kaszubskie.
W ręku zaiste boska siła, jakgdyby siła śpiąca
przez wieki we wszystkich lasach Polski, Litwy
i Rusi, leżąca w polach, puszczonych odłogiem
w wieczystą dzierżawę Dziewannie i wrzosowi, -
w górach, porosłych jałowcem i kosodrzewem,
gdzie przez stulecia tajemnica samotności prze=
bywa i nieskalane bytują żywioły.
Dłoń ściska złote wodze, strzymujące skoki jeleni.
Lecz to nie skoki dzikich jeleni strzymuje dłoń,

lecz nieposkromiony pęd, jelenie skoki, leśną, górską, w roztogach zrodzoną moc własnego ducha, — żądzę, potęgę i samowładztwo nieposkromioną swego plemienia.

Moc zadawania śmierci w tych wodzach — i moc patrzenia w grot strzały, której bełt na cięciwie śmierci.

Mętnieje sen...

We mgłach widać konie skrzydlate, wiozące Venus w złotogłów obuloną. Widać Parysa, związanego łańcuchem.

Podaje Venus urocza złote jabłko cudnej królewskiej synowicy.

Podparty na ręku patrzy Stefan król w rynek krakowski, potem ludu polskiego. Uśmiech, rzadki gość, na ~~[illegible]~~ twarzy posępnego króla.

Muzyka.

Uderza w powietrze odgłos trąb.
Miotają komornicy w tłum srebrne talary,
na których twarz królewska wyryta.
Cieszy się lud.
Pieni się zachwyt w jego sercu, jak mocne wi=
no w pucharze przez cudzoziemca rzeźbionym.
Sławę swą trzyma lud w dłoni.
Patrzy w nią, opija się i pieści jej wizerunkiem.
Samotna Diana, uchodząc z rynku w ciemną
ulicę, przymknęła oczy i wzdycha...
Ciężki kamień na piersi jej spadł...
Jakże dziwny widziała lud!
Wszystko w nim nie samo swoje, nic własne.
Głucha w nim tylko, pierzchająca na wsze strony
siła...
Zuchwała w nim tylko dzikość, jak w morzu, w le-
sie tatrzańskim i w dzikiem polu...